Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 23 (1759) 7 – 13 czerwca 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Prawda pada na froncie
str. 7

Diabeł tkwi w Polsce
str. 8

Głupielok Duda
str. 4

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 23

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl f32860a4e5

WOJNA DOMOWA

Gwiazdą tygodnia okazał się młodzieniec nazwiskiem Szopa – natchniony twórca produkującej „odzież patriotyczną" marki Red is Bad, czyli „czerwone jest złe", a także fundacji pod taką sama nazwą, która miała pomagać antykomunistycznym kombatantom. Atoli okazuje się, że potentat od gaci i podkoszulków dostawał od rządu PiS kasę na wszystko, zwłaszcza na to, na czym się nie znał. Znał się za to na marżach: na przykład agregaty prądotwórcze dla Ukrainy kupił od producenta za 69 baniek i sprzedał ojczyźnie za 350. W sumie z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych dostał bez przetargu pół miliarda złotych. Fundację dla kombatantów, wobec majaczącej na horyzoncie klęski PiS, zlikwidował nie rozliczając – za co zapłacił 2,5 bańki łapówki. Przy okazji wydało się, że młodzian kupił sobie BMW za bańkę i siedem mieszkań w Warszawie za gotówkę. Planował też Lamborghini za 4 mln zł, ale coś poszło nie tak. Internet sugeruje, że oferowali mu czerwone.

Donald Tusk zawezwał wyznawców na 4 czerwca na Plac Zamkowy. Iwenty wyborcze premiera Tuska coraz bardziej przypominają msze za ojczyznę z PiS-em obsadzonym w roli Moskali. Moskale też pełnią w narracji premiera rolę Moskali, ale jakby trochę mniej ważnych. Próbka retoryki premiera demokratycznego rządu na temat głównej partii opozycji: „Tak szczerze powiedziawszy, żeby nie powiedzieć do diabła ciężkiego, czy my mamy się wstydzić za naszych reprezentantów w Brukseli? Czy naprawdę byśmy chcieli wysłać delegację złodziei, delegację łajdaków, ludzi bez sumienia, ludzi, którzy okradali Polskę przez tyle lat? Listy kandydatów PiS-u do europarlamentu to są, wiecie, listy gończe". Policja ocenia, że na wezwanie premiera stawiło się koło 30 tys. ludzi. To tyle, ile w październiku zagłosowało na posła Szczerbę. A co we wtorek robiło pół miliona wyborców Tuska?

Inna ciekawa uwaga Donalda na temat więzi między czerwcami sprzed 35 lat i dziś: „Wyobraźcie sobie, gdyby w 1989 roku – a wiecie, jakie ciężkie nastąpiły czasy, obalenie komuny nie oznaczało, że się u nas narodził raj na ziemi – wyobraźcie sobie, gdyby nasze pokolenie po wygranych wyborach w czerwcu 89 powiedziało sobie: nie podoba nam się, wracamy do komunizmu… My nie możemy w żaden sposób tak myśleć dziś". Otóż pokolenie Tuska jako żywo tak właśnie powiedziało: wybierając w 1993 r. sejm, w którym władzę uzyskał Sojusz Lewicy Demokratycznej, a w 1995 r. – Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta RP. Hasło SLD w 1993 r. brzmiało „Tak dalej być nie musi", co było optymistyczny rozwinięciem hasła „Tak dalej być nie może", z którym Sojusz zdobył drugie miejsce w wyborach roku 1991. O tym, czy wyborcy sądzą, że może i musi być dalej tak, jak chce Donald, przekonamy się w niedzielę 9 czerwca, a jeszcze bardziej w czerwcu przyszłego roku, kiedy odbędą się wybory prezydenckie.

Do tych wyborów nawiązują rozmaici politycy obecnej władzy. Rafał Trzaskowski ogłosił, że wybierzemy sobie „poważnego prezydenta", który „jest szanowany na świecie" i „traktowany serio", a także „słucha, współpracuje, nikogo nie atakuje, nikogo nie piętnuje". W ten nieco sielankowy obraz wkroczył poseł Trela z lewicy: „Mówię to bardzo odpowiedzialnie, bardzo konsekwentnie, bardzo jednoznacznie: z panem Andrzejem Dudą, który pełni funkcję prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, nie ma na co się umawiać i nie ma co się dogadywać". Poseł Trela wie, że „trzeba ten rok się przemęczyć" a potem „wybrać nowego prezydenta, który będzie współpracował z rządem". A co będzie, jak lud znowu nie stanie na wysokości zadania i wybierze sobie nie taką głowę, jak życzą sobie Trzaskowski z Trelą? Władza będzie musiała rozwiązać naród i wybrać sobie nowy.

Jarosław Kaczyński pojechał do Brukseli na rolniczy protest przeciwko Zielonemu Ładowi i nawet odbył konferencję prasową, na której odpowiedział na wszystkie pytania – oczywiście po polsku. Prezes PiS z właściwą sobie erudycją ulokował europejskie wysiłki na rzecz ochrony klimatu w kontekście historycznym: „Niejeden raz w historii Europy, i w ogóle w historii ludzkości, panowało jakieś szaleństwo i dzisiaj właśnie panuje takie szaleństwo. Szaleństwo panowało na przykład po rewolucji bolszewickiej, z tymi różnymi pomysłami dzielenia ludzi, różnego rodzaju eksperymentami społecznymi, które niekiedy tak wyglądały, że wstyd o nich opowiadać, ale to był właśnie wynik dojścia do władzy ludzi, których, no, racjonalność myślenia, jest łagodnie mówiąc, bardzo ograniczona". Racjonalność myślenia, z jaką lider opozycji potrafi w każdej sytuacji odnaleźć ślady komunizmu, zawsze robi na nas wrażenie.

Złoty Medal za największy pic kampanii wędruje do Marcina Kierwińskiego: „Te wybory naprawdę są bardzo ważne, one będą decydować, jaka Polska będzie, w jakiej Europie, naprawdę jestem o tym przekonany – a mówię to jako osoba, która miała zawsze zasiadać w rządzie, która wybrała start w tych wyborach, dlatego, że te wybory właśnie są ważne". Ale żeś nas, Marcin, ubawił.

AWŁ

Szanowni Czytelnicy, Drodzy Towarzysze!

W siedzibie redakcji odbywa się remont, stąd trudność w dodzwonieniu się do nas. Bardzo prosimy o kontakt mailowy lub listowny.

O zakończeniu remontu z dumą poinformujemy.

Redakcja Tygodnika NIE

Z URNY URBANA

Audytem obecnie trwających rządów zajmujemy się w każdym numerze tygodnika „NIE". Przypomnijmy zatem audyt historyczny – poprzednich rządów dokonany przez Urbana po około półrocznym okresie od dojścia PiS do władzy. Felieton z maja 2016 r.

PiS w lustrze

Rząd Szydło wygłosił audyt ośmioletnich rządów PO–PSL. Tą samą metodą z pomocą kolegów i ich żon ślubnych lub prawdziwych przeprowadziłem audyt półrocznych rządów PiS, a więc szesnastokrotnie krótszych niż poprzednie. Wyniki są porażające. Władzę objęła mafia dupków, nacjonalistów, bigotów i oszustów. PiS zmieniło Polskę w kraj morderców. Dość powiedzieć, że ledwie Kaczyński objął bezlitosną władzę, jeden młodzieniec zabił matkę-prokuratorkę, drugi obciął głowę nauczycielce, a rząd pozwolił mu uciec aż na Maltę. Ponieważ spadł kurs złotego, wzrosła o 89,4 procent liczba konkubentów po pijaku mordujących kochanki i vice versa oraz rozwodników zabijających byłe żony. Państwowe pociągi o 73 proc. chętniej uśmiercają na przejazdach kolejowych automobilistów, rowerzystów i pieszych, ze szczególnym uwzględnieniem kobiet. To symbol dobrej zmiany. Wielokrotnie spotęgowały się zabójstwa człowieków nienarodzonych. Groźba pisowskich arcykapłanów katolickich, że totalnie zakażą skrobanek, skłoniła setki tysięcy kobiet do zajścia w patologiczną ciążę lub zorganizowania gwałtu na sobie. Chodzi o to, aby dokonać aborcji, dopóki nie idzie się za to siedzieć.

PiS rozpoczęło marnotrawstwo pieniędzy na wielką skalę. Dziesiątki tysięcy aktywistów Prawa i Sprawiedliwości objęły wysoko płatne posady w spółkach skarbu państwa, TVP, PR i urzędach. Siła przewodnia wprowadziła zasadę, że szewc kieruje górnictwem, a górnik obuwnictwem lub końmi. Parszywa partia kaczystów kosztem Polaków chce udowodnić wyższość każdego pisowca nad każdym fachowcem, a też wziąć głodem drugi sort Polaków. Pierwszy sort pożre zwłoki. Politycy tego zdychającego sortu ćwiczeni są w sejmie w szybkim i krótkim przemawianiu na wzór lektorów reklam paraleków uprzedzających, że ich branie należy skonsultować z lekarzem lub farmaceutą, inaczej specyfiki mogą zagrażać. Opozycji PiS przycięło języki m.in. w czasie wystawianego w sejmie audytu rządów PO–PSL. Audytorzy wierzą w Boga, a w szczepionki nie.

Odżegnując się od antysemityzmu, PiS wzbudza go czynami. Duda ośmieszył Żydów, bo odznaczył Orłem Białym Bronisława Wildsteina. Herb Polski wyrwał sobie potem wszystkie pióra ze wstydu i wygląda jak kurczak z rusztu.

Trwa rozrzutność, pomimo zakazu jeżdżenia służbowymi limuzynami w złotym kolorze. Pieniądze, którymi państwo PiS obdarowuje partię PiS, prezes PiS w znaczącej części wydaje na jedwabne krawaty dla oddziałów swojej ochrony.

Za rządów PiS opony zaczęły pękać jak za Piłsudskiego. Pod panowaniem krwawego Ziobry śledztwa są bardziej nieudolne niż kiedykolwiek. Już miesiące trwa bez rezultatu dociekanie, dlaczego pękła jedna opona w jednym aucie. Pod rządami PiS w milionach samochodów opony mogą więc teraz pękać bezkarnie.

W ciągu pół roku PiS pobudziło nienawiść Polaków do nie-Polaków, czyli prawie całej ludzkości. Mianowało uchodźców-muzułmanów terrorystami i roznosicielami groźnych chorób, tyle że innych niż tyfus, którego siewcami Hitler nazywał Żydów. Odmówiło wykonania obowiązujących decyzji poprzedniego rządu o przyjęciu marnych siedmiu tysięcy uchodźców. Wznieciło zanikłą nienawiść do Rosjan i Niemców. Objęło protekcją neofaszystów tłukących ludzi niedostatecznie białych. Widzimy więc, że Naród Polski (NP) PiS prowadzi stopniowo do ludożerstwa. Przy okazji zlikwidowało autonomię Kościoła wobec państwa i państwa wobec Kościoła. Narodową zwyrodniałą odmianę katolicyzmu uznało za tożsamą z polskością. Wśród powojennych a prowojennych zbrojnych antykomunistów czci także morderców kobiet i dzieci. Odtwarzać zamierza podobne faszystowskie oddziały.

PiS w pół roku zdołało narzucić, chociaż jeszcze niezupełnie, spisaną przez idiotów, więc nacjonalistów, łże-historię kraju. Polska ma być odtąd niewinną dziewicą stale gwałconą przez obce moce, a teraz molestowaną przez Brukselę i opluwaną przez nią w samą rozerwaną pochwę.

Dziewica poniosła bohaterskie klęski, które należy czcić, ponieważ odnosiła moralne zwycięstwa. To gówno wtłaczane już jest do szkół, filmów, teatrów TVP, a wisienką zdobiącą jego szczyt staną się wybuchy w samolocie spadłym pod Smoleńskiem.

Jak powszechnie wiadomo z podsłuchu na Nowogrodzkiej, Kaczyński w wieczornych monologach dla swojej drużyny poucza ją, że plemię Tutsi ma być wzorem dla dumnego szczepu piastowego.

PiS umyślnie sprowadziło najniższą emeryturę do 45 groszy miesięcznie, czyli 1,5 grosza dziennie i szybko upowszechnia wypłaty podobnej wysokości. Chodzi mu o to, żeby było go stać na wyborczą obietnicę obniżenia wieku emerytalnego. Jeśli będzie chodziło o groszowe wypłaty, dokona tego z palcem w dupie.

• • •

Chętnie rozwinąłbym mój audyt po 3,5 roku, kiedy chłopi wściekną się, gdyż zubożeją wskutek spadku cen ziemi, górnicy będą wyli, że znów ich oszukano, razem z frankowiczami, emerytami, pacjentami, w tym kukizowcami.

Ufam jednak, że przerzucaniem gnoju PiS zajmie się następna władza, która jebać będzie kaczystów w Sejmie przez 10 godzin, po czym wyłączy mikrofony, a wręczy prezesowi sznur, żeby się wybiczował lub powiesił.

Jako mieszkaniec Polski uważam, że im gorzej, tym gorzej. Jako audytor, że im gorzej, tym lepiej, bo krócej.

JERZY URBAN

TRYBUNA LUDZI

Która afera z rządów PiS jest Waszą ulubioną i dlaczego?

Facebook

Kamil Matwiejew: Nie wiem. Kiedy myślę, że mam swoją ulubioną, zaraz ma premierę kolejna.

Bartek Orzeł: Moją ulubioną będzie ta, dzięki której wyjdzie, że to ja zarobiłem jakieś miliony.

Anna Maria Pantera: Red is bad, bo typ zarobił więcej od Obajtka.

Adam Kwiatkowski: Respiratorowa ...przyniosła wielu ulgę i wytchnienie.

Robert Łysek: Moja ulubiona to ta, o której się jeszcze nie mówi.

Eugeniusz Rezmer: Moją ulubioną aferą były ośmioletnie rządy PiS.

Marcin Ej: Ulubiona to ta, w której oni twierdzą, że to nie oni.

Wojtek Laskowski: Aferę zrobiła pani Wąsik u prezydenta o zimne kaloryfery.

Justyna Krzykalska: Afera z Sasinem, bo 1 Sasin stał się walutą i mocno stoi na rynku.

Marcin Mielczarek: Ta, która nie jest nawet aferką, jak rzekło słońce narodu!

Maciej Dadej: Duda w Red is Bad.

Marcin Grochala: Ale że z ostatniego tygodnia czy ogólnie?

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: Powtarzacie się, Szanowna Redakcjo Trybuny Ludzi! We wrześniu 2023 roku pytaliście bowiem: „Jaka jest Wasza ulubiona afera?". Nie wstyd Wam?

Redakcja: *Przybyło 500 nowych!*

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Jacek Kurski** powiedział, że nie miał żadnych przywilejów podczas orzekania o nieważności poprzedniego małżeństwa. Pojawił się Bóg i powiedział: co ja złączę, a z resztą chuj z tym.
- Twórca **Red is Bad** dostał kontrakty na co najmniej pół miliarda. Red is bad, a pomarańczowy Panu pasuje?
- **Jarosław Kaczyński** stwiedził, że Tusk to swoiste popychadło. Co by nie mówić, Kopciuszek dobry mariaż popełnił.
- **Lewica** proponuje zakaz egzorcyzmów na nieletnich. Teraz legalne egzorcyzmy będą dostępne w Czechach i Niemczech.
- Z pracy odchodzi **fotograf Andrzeja Dudy**. Producenci budyni szukają fotografów z doświadczeniem.
- **Biskup Mirosław Milewski** zaapelował, aby modlić się, aby w naszej ojczyźnie ołtarze nie były zamieniane na bary. W naszej ojczyźnie bar, w którym barman sam sobie polewa i pije, może się nie przyjąć.

MARTA M.

eprasa.pl f32860a4e5

Bój nasz ostatni

Mam apel do ludzi lewicy: zbojkotujmy te wybory. Trzeba zniszczyć to miasto, żeby je ocalić.

Cytat pochodzi skądinąd od anonimowego majora armii amerykańskiej, który w 1968 r. tłumaczył dziennikarzowi Associated Press przyczyny zrównania z ziemią miasta Bên Tre w południowym Wietnamie. To oddaje stopień mojej desperacji.

Mistrzowie nepotyzmu

4 czerwca 1989 r. nie głosowałam. Nie dlatego, że – jak wyjaśnił na ostatnim wiecu Donald Tusk – w tamtych wyborach „chodziło o to, żeby tutaj była Polska, a nie Rosja", ale dlatego, że podobnie jak Rafał Trzaskowski i Andrzej Duda miałam 17 lat i komuna mi nie pozwoliła. Skądinąd słusznie – gdyby pozwoliła, głosowałabym na Jacka Kuronia, który kandydował z mojego Żoliborza i którego plakaty z mołojeckim zapałem rozklejałam po nocach. Od tamtego czasu we wszystkich wyborach parlamentarnych głosowałam na taką czy inną lewicę. Tym razem jednak się nie da.

Ta dziwaczna ordynacja jest skonstruowana w taki sposób, że głos na jakiegokolwiek kandydata lewicy jest głosem na tych trzech, góra czterech liderów list, którzy dostali biorące okręgi. Co oznacza, że głosując np. w Warszawie na jakąś miłą nam kandydatkę z dalszego miejsca – w praktyce głosujemy nie tylko na Roberta Biedronia, ale także na Krzysztofa Śmiszka, który ledwo co został posłem i wiceministrem, ale już uznał, że brukselska trawa jest bardziej zielona. Wymieniam tę królewską parę, która zapewniła sobie jasną przyszłość w Brukseli – bo dowodzi ona, że poziom nepotyzmu, jaki osiągnęła Nowa Lewica pod przywództwem tandemu Czarzasty–Biedroń, może zawstydzić Zjednoczoną Prawicę. Kaczyści rodzinom polityków rozdawali synekury, ale jednak nie mandaty.

Nie to jest wszakże najważniejsze. Gdyby wysłanie Biedronia ze Śmiszkiem do Brukseli oznaczało ich odejście z polityki krajowej, nie należałoby im żałować tych 10 baniek, jakie do spółki przytulą w ciągu kadencji. Na zdrowie.

Kłopot polega jednak na tym, że – jak widzimy po tych i poprzednich wyborach – Biedroń może nie wykonuje w Brukseli jakiejś ważkiej pracy dla partii, ale nadal rozdaje w niej karty, jeśli idzie o personalia. Kształt tegorocznych list do europarlamentu, gdzie z czterech rokujących jakiekolwiek szanse okręgów, trzy przypadły działaczom świętej pamięci Wiosny – a ani jeden dawnemu SLD – dowodzi, że żelazny chwyt Biedronia na gardle partii bynajmniej nie zelżał z oddali.

Ma to oczywisty związek z symbiozą, w jakiej jest on z Włodzimierzem Czarzastym, który skonstruował alians z Wiosną w ten sposób, żeby uniezależnić się od nastrojów we własnej formacji. Wiosna połączyła się z Sojuszem Lewicy Demokratycznej jak równy z równym; dostała tyle samo delegatów na kongres zjednoczeniowy, tyle samo miejsc w zarządzie, pół przewodniczącego i prawo do głosowania w sprawie drugiej połówki. Dzięki czemu Czarzasty mógł być wybrany na współszefa partii głosami Wiosny, nawet przy silnym oporze we własnych szeregach. Opór ten zresztą zmiażdżył dość skutecznie, zawieszając, wykluczając z obrad zarządu, nie dopuszczając do kongresu i wyrzucając z partii wszystkich, którzy nie podzielali jego – że tak powiem – wizji.

Do dupy z mniejszym złem

W normalnej partii ci dwaj faceci – z których jeden poniósł haniebną klęskę w wyborach prezydenckich, uzyskując wynik poniżej Magdaleny Ogórek, a drugi wczołgał się do sejmu po plecach lokalnego radnego startującego z ostatniego miejsca – sami odeszliby w niesławie, ale chociaż z honorem. Partia pod ich kierownictwem wyłącznie traci: z 12,56 proc. w roku 2019 spadła do 8,61 proc. w 2023 i do 6,32 proc. w ostatnich wyborach samorządowych. Jeśli w tę niedzielę przekroczą 5 proc. i zdobędą trzy mandaty – nic się nie zmieni. Dlatego nie możemy do tego dopuścić.

Partii potrzebny jest wstrząs, który wytrąci z równowagi wszystkich tych, którzy sądzą, że jest jak jest, bo w sumie mogłoby być gorzej i nic się nie da zrobić.

Jej szansą – może ostatnią – jest totalna klęska w eurowyborach. Nieprzekroczenie progu wyborczego. Może wtedy aktyw wkurwi się na tyle, żeby pogonić łachmytów.

W Nowej Lewicy pod koniec 2022 r. było według oficjalnych danych 20 tys. ludzi. Nie pochodzili oni z Wiosny, która istniała na polskiej scenie politycznej jakieś sześć miesięcy – to ludzie dawnego SLD.

Jeśli ktoś półtora roku temu był w NL – to przecież nie w nadziei na karierę. To działacze szczerze lewicowi, przywiązani do wartości i sztandaru formacji. To ludzie, wśród których są setki mądrych, kompetentnych, ideowych lewicowców. Na pewno nie w pierwszym szeregu, i raczej nie w drugim, ale w trzecim już tak. Z marszu przychodzą mi do głowy trzy takie nazwiska (których oczywiście nie wymienię, bo po co mam ludziom szkodzić), ale przecież bez wątpienia jest ich więcej. Żeby mogli zostać usłyszani i zauważeni,

trzeba ukręcić łeb temu toksycznemu układowi na szczycie Nowej Lewicy. Klęska w wyborach do europarlamentu może być na to nadzieją. Pomóżmy partii, Towarzysze. Nie głosujmy na socjalzdrajców.

Osobiście nie zagłosuję też na nikogo innego. Po prostu dlatego, że w tych wyborach nie ma żadnej innej lewicy – a ja głosuję na lewicę. I już.

Są to przy tym, wbrew płomiennym zapewnieniom Donalda Tuska i jego akolitów, wybory kompletnie bez znaczenia dla przyszłości kraju – 53 polskich europosłów nie będzie miało żadnego wpływu na losy Europy. Naprawdę nie musimy wybierać mniejszego zła.

Pożegnanie z kolegą

Przy okazji, pozwólcie, że – odpowiadając na kilka pytań, które dostaliśmy od Czytelników – wyjaśnię, dlaczego nie zagłosuję także na naszego byłego kolegę Andrzeja Rozenka. I dlaczego nikogo nie namawiamy do takiego głosu.

Andrzej Rozenek dokonał wyboru. Politycznego – kiedy związał się z prawicowo-liberalną partią władzy, jaką jest Platforma Obywatelska – ale także osobistego, kiedy postanowił w konkurencyjnym i nieżyczliwym wobec nas medium zaatakować redakcję, w której ciągle jeszcze był zatrudniony.

W lutym Andrzej Rozenek udzielił Onetowi wywiadu, w którym nie tylko odciął się od „NIE" i wszystkiego, co tygodnik reprezentuje, ale także mniej więcej wprost ogłosił, że nasza gazeta nie jest warta kupowania i czytania.

Było to w czasie, kiedy Rozenek – po przegraniu wyborów, w których startował z listy Koalicji Obywatelskiej – liczył na stanowisko w nomenklaturze PO, więc chciał się pokazać jako szczery antykomunista. To nie są moje spekulacje: bez skrępowania poinformował o tym rozmawiającą z nim Magdalenę Rigamonti, oświadczając, iż jest gotów objąć kierownictwo koncernu Polska Press albo Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Żeby zwiększyć swoje szanse – które skądinąd okazały się zerowe z powodu braku wyższego wykształcenia – Rozenek skwapliwie zgodził się z frontalnym atakiem, jaki Rigamonti przypuściła zarówno na nasz tygodnik, jak i na jego twórcę.

Prawicowa dziennikarka ogłosiła, że „NIE" „od 34 lat zamazuje prawdziwy obraz", prezentując „skrajnie lewicowy, w zasadzie komunistyczny punkt widzenia"; jest pismem „skrajnie lewicowym, skrajnie antykościelnym i skrajnie przeciwko wartościom chrześcijańskim" (to akurat prawda, z której czerpiemy dumę); Jerzy Urban to ktoś, o kim „nie można powiedzieć, że to był odpowiedzialny człowiek", a także „jest czarno-biały, w latach 80. stał po stronie zła".

Redaktor Rozenek nie bronił ani linii pisma, które zatrudniało go przez 27 lat, ani osoby naczelnego, który dał mu pracę i powierzył stanowisko swojego zastępcy. Wręcz przeciwnie: pieczołowicie umywał ręce od współodpowiedzialności za nasz tygodnik. „Proszę mi udowodnić, że ja zamazywałem prawdziwy obraz" – mówił, zarzucając rozmówczyni, iż „stosuje odpowiedzialność zbiorową". Ogłosił przy tym – dość megalomańsko, zważywszy, że jedyną osobą decydującą o linii pisma od jego powstania do swojej śmierci był Urban – że „kiedy on był wicenaczelnym, to tygodnik »NIE« publikował materiały dalekie od skrajnej lewicowości". Nie podjął dyskusji z jednoznacznym potępieniem stanu wojennego i Polski Ludowej – choć walka o dobre imię Generała i prawdę o 13 grudnia była i jest jednym z głównych założeń programowych „NIE". Zamiast tego, Rozenek skupił się na wykazywaniu, że on osobiście miał z linią naszego pisma bardzo mało wspólnego. Na koniec oświadczył, że „nie jest rzecznikiem" Urbana, „nie odpowiada za historię", kiedy „wprowadzono stan wojenny, miał dwanaście lat" i Urbana „nie znał".

Jak się okazuje, Urban jego też nie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Rys. MARCIN CHUDZIK

Nie róbcie wyborców w konia

W poszukiwaniu straconej przyzwoitości

Żeby nie było, że tylko się czepiam, mam dla tej wymarzonej, odnowionej lewicy propozycję pierwszego projektu ustawy.

Stricte politycznego, bez żadnych kosztów budżetowych, odnoszącego się do problemu, który w tych wyborach ujawnił się w niezwykle dobitny sposób.

Parę tygodni temu pisałam – przyznaję ze skruchą – że na potępienie zasługują jedynie ci kandydujący do europarlamentu świeżo wybrani posłowie, radni i ministrowie, którzy mają realną szansę na zdobycie mandatu. Reszta poświęca się dla partii, kandyduje, żeby wesprzeć listę i nie ma o co mieć do nich pretensji.

Jeden z Czytelników zwrócił mi uwagę, że przejawiam partyjniackie myślenie, w którym obywatele, wyborcy, żeby nie powiedzieć: suweren – są jedynie pionkiem w partyjnych rozgrywkach. Czytelnik ma rację, a ja się myliłam.

Oczywiście, że większość kandydatów na listach wyborczych jest świadoma, że ich szansa na mandat jest minimalna lub żadna. Jednakże wybory to rzecz poważna. Decydując się na kandydowanie, polityk zawiera z wyborcami umowę, która brzmi mniej więcej tak: jeśli mnie zatrudnicie, będę dla was pracował. Wszelkie pomysły „mocnych list" złożonych ze znanych polityków, którzy tak naprawdę nie ubiegają się o mandat w organie, do którego kandydują, to nic innego jak oszustwo. Konstruując w ten sposób listę, partie zachowują się jak szemrany sklep wysyłkowy, który na stronie internetowej oferuje klientom dwumetrową choinkę, a potem przysyła im zieloną miotełkę do kurzu. Taka tendencja była w polskim życiu politycznym obecna od lat, ale w tych wyborach przybrała patologiczne rozmiary.

W odróżnieniu od innych patologii, ta jest wszakże łatwa do zlikwidowania.

Wystarczy w ordynacji wyborczej wpisać zasadę, iż w momencie zarejestrowania przez PKW listy kandydatów do jakiegokolwiek organu pochodzącego z powszechnych wyborów – automatycznie wygasają wszystkie inne mandaty znajdujących się na niej osób.

W tej chwili mandat radnego, posła, senatora, czy europosła wygasa w „przypadku wyboru w toku kadencji": dla posłów i senatorów – na europosła; dla europosłów – na posła lub senatora; dla radnych – w zasadzie na kogokolwiek innego (wójta, posła na sejm, senatora albo posła do PE). To oznacza, że w maratonie wyborczym, jaki mamy w tym sezonie, parlamentarzysta wybrany w październiku może sobie, nie ryzykując niczym zgoła, kandydować w każdych następnych wyborach, ściemniając wyborcom, że na serio jest gotów im służyć w nowym miejscu.

Gdyby samo wpisanie na listę wiązało się z utratą posiadanego mandatu – na listach znajdowaliby się tylko ci politycy, którzy swoje kandydowanie traktują poważnie i są gotowi ponieść ryzyko.

Podobny zapis powinien dotyczyć ministrów, wiceministrów i szefów urzędów centralnych: automatyczna dymisja w momencie rejestracji listy. Branie na kampanię płatnego urlopu z ministerstwa to gruba bezczelność.

Takie rozwiązanie będzie uczciwe wobec wyborców i wobec mniej znanych partyjnych kolegów, którzy dziś startują na zająca, albo zgoła jako wypełniacz: minimalna liczba kandydatów musi bowiem być równa wszystkim mandatom w okręgu. Każdy z ich zasługuje na to, żeby wyborcy usłyszeli jego głos, zobaczyli jego kampanię, zastanowili się nad tym, co ma do zaoferowania. Ta szansa pojawi się, kiedy kandydatów z dalszych miejsc przestaną zagłuszać znani politycy kandydujący tylko pozornie.

Rys. OBYWATEL JANEK

• • •

Piszę o polskiej polityce od 33 lat. Pamiętam tytanów przełomu, odważnych lewicowców strony postsolidarnościowej, kompetentnych postkomunistycznych technokratów. Nie pamiętam takiej intelektualnej nędzy, bezideowej miałkości i niezawoalowanego karierowiczostwa, jakie dziś prezentuje cała klasa polityczna, nie wyłączając lewicy.

Zróbmy z tym coś, nim będzie za późno.

AWŁ

eprasa.pl f32860a4e5

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Hulaj noga

Rozważania o samolotach i eurowyborach.

Kiedyś miałam hulajnogę. Mama oddała ją po trzech dniach do sklepu, bo ponoć miała krzywą kierownicę.

Kiedyś miałam rower. Miałam też męża. Mąż zniknął z rowerem.

Prezydent Andrzej Duda twierdzi, że niedługo to mam szansę na własny samolot. A przecież gdyby nie obalono komuny, to musiałabym popierdalać na traktorze, albo jakimś innym kombajnie. Teraz, żeby to było możliwe, trzeba by się gibnąć do Izraela – do kibucu.

• • •

Kiedyś koleżanka powiedziała do mnie, że myślała, iż jak ktoś tak zapierdala, jak ja, to ma ze trzy domy na Teneryfie, a ja tymczasem jestem biedna jak mysz kościelna. Cóż, może i mam trzy domy na Teneryfie, tyle, że one nie należą do mnie… A skoro tak, to nie napalam się również i na ten samolot od Dudy, chociaż przydałby się, aby polecieć do Izraela, żeby pojeździć na traktorze.

Gdybym miała dziesięć koni i była góralem, to mogłabym je zamienić na jednego meleksa od posła Nowej Lewicy Łukasza Litewki. Taką propozycję – tj. meleks za koniki – złożył góralom z Morskiego Oka. Litewka twierdzi, że „tradycją górali są stroje, a nie męczenie koni". Serio?

Czasem się zastanawiam, czy galopująca sympatia dla zwierząt jest dowodem na ludzką miłość do nich, czy raczej dowodem na nienawiść ludzi do ludzi? Obstawiałabym to drugie, choć rzecz jasna koni żal…

Konie z Morskiego Oka, jeśli ich jakiś Litewka nie wykupi, a przestaną ciągnąć turystów – pójdą na klej. Tak czy siak by zresztą poszły, ale później. W zasadzie sytuacja jest tak skomplikowana, że mogłyby się wypowiadać o niej wyłącznie rzeczone konie, co wszakże nie jest możliwe.

W sumie można tutaj od biedy zacytować

słowa Róży Luksemburg: „Socjalizm albo barbarzyństwo". Na socjalizm się wypięliśmy w 1989 roku, to co zostało?

To znaczy, ja się nie wypinałam, bo byłam za mała na wypinanie. I śmiem twierdzić, że za mądra – najpierw w imię zysków zrobią klej z konia, a później z ciebie…

• • •

W miniony weekend grupa oldboyów zgromadziła się na Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie. Były premier Włoch oraz były przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi i były prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski zostali laureatami tegorocznej Nagrody Króla Eryka Pomorskiego. Ustanowionej w 2023 r. – dla osobistości „zasłużonych dla budowania pokoju i współpracy w Europie". Wtedy otrzymał ją Jerzy Buzek. A dają dyplom, medal, 10 tys. euro.

Ja jebię!

A dokładniej 10 tysięcy euro nie jebię, ale bym przytuliła. Bawi mnie, że będzie je przytulał na przykład Kwach. O Starych Kiejkutach – pamiętamy. I paru innych pokojowych drobiazgach.

Przez trzy dni zamkowych uroczystości pito sobie z dzióbków i towarzystwo na oczach publiczności jarało się, jak to fajnie jest, że jesteśmy w Unii, i że jesteśmy w NATO, i zajebiście, zajebiście… Chwilę wcześniej w Kielcach Kwaśniewski zaapelował o udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego: „W tych wyborach będzie głosowało europokolenie, apeluję do nich, aby kontynuowali sztafetę silnej Polski w silnej Europie. Dziś jesteśmy w niebezpiecznym momencie, za granicą jest wojna, nie znamy kolejnych planów agresorów, decyzja jest w waszych rękach. Proszę o udział w wyborach 9 czerwca i głosowanie na listę Lewicy".

Europokolenie nogami przebiera, żeby stąd spierdalać – dokądkolwiek. Dzięki temu, że jesteśmy w Unii, może sobie nawet wybrać, gdzie paść kapitalistów. Chłopaki biegną teraz szybciej. Hulają nogami, bo żadna z nich husaria, a na meleksa też nie mają. „W nowym świecie jako Europejczycy, będziemy się liczyć tylko i wyłącznie jak będziemy razem, jeżeli będziemy tę Unię współtworzyć, zmieniać i wzmacniać. Inaczej będziemy skazani na wegetowanie na obrzeżach świata, który się teraz tworzy. Wiemy, że liderem chcą być Chiny, Stany Zjednoczone chcą nim pozostać, odczuwamy boleśnie imperialne ambicje Rosji, za chwilę będziemy słyszeć o ambicjach Indii" – jodłował Kwaśniewski.

Idźcie, dzieci, idźcie, załatwcie innym pracę, nagrody, realizację. Idźcie dzieci, idźcie, a głosujcie dobrze, złe głosowanie i będziecie odmrażać jajka w okopach. Ale Historia wam podziękuje, tak jak podziękowała waszym dziadkom, którzy jarali się wyborami w 1989 roku...

Ja nie idę – stara jestem, wnuków nie mam i z zasady nie lubię, jak mi się dziękuje. Zabiorę pieska na długi, niedzielny spacer. Szczeniaczka rasy Św. Bernarda – tak, tego od beczułek z alkiem i Szwajcarii, gdzie lubi sobie pomieszkiwać Kwaśniewski. Siostrę tam niby ma, bo przecież nie buja się na legalną eutanazję. Paniali?

IZABELA SZOLC

Gupielok Duda

Veto do ustawy o śląskim języku regionalnym to głupota i pycha.

A to ci synek! „Synek" to po śląsku familiarne określenie mężczyzny. Ładnie, prawda? A to ci synek, powtarzam. Ten gupielok, co go mam na myśli, to Andrzej Duda, który wziął i nie podpisał ustawy ustanawiającej oficjalny status języka śląskiego jako języka regionalnego. Pewnie mu Pan Prezes Kaczyński „nie kazał". A „nie kazał", bo mu się wydaje, że ci Ślązacy to „opcja niemiecka" i że uznanie języka śląskiego to pierwszy krok w stronę jakichś separatystycznych żądań autonomii dla Śląska, a kto wie, w przyszłości może nawet do oderwania Śląska od prapolskiej macierzy. Jako pretekst do niepodpisania ustawy posłużyła Dudzie opinia językoznawcza, że język śląski nie istnieje, bo jest on tylko gwarą w ramach języka polskiego. Takie stanowisko zajmuje zresztą (co trzeba przyznać) wybitny i sławny językoznawca prof. Jan Miodek.

Mimo, że do wyborów prezydenckich zostało już tylko kilkanaście miesięcy i następny prezydent z pewnością tę ustawę podpisze, to sprawa jest poważna.

Ślązacy zapamiętają ten despekt, a dla wielu młodych ludzi identyfikujących się jako Ślązacy nieprzyjazny gest prezydenta RP będzie okazją do zastanowienia się nad relacją między ich tożsamością polską i śląską.

Dotąd pewnie nie widzieli tu żadnego antagonizmu, a teraz właśnie zobaczą. Efekt veta będzie więc przeciwny do zamierzonego. Na szczęście, druga strona tego medalu jest taka, że nieprzyjazne dla śląskości zachowanie PiS (nie pierwsze zresztą), może wpłynąć na wynik tej partii w nadchodzących wyborach do europarlamentu oraz w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. I oby tak właśnie się stało!

Rys. WIDGET

Argument, że śląski nie jest językiem i nie można sankcjonować prawem czegoś, czemu przeczy nauka, tylko pozornie jest słuszny. Językoznawstwo to nie fizyka. Tutaj kryteria rozstrzygające o tym, czy dana mowa jest odrębnym językiem, czy tylko odmianą lub dialektem jakiegoś języka wyższego rzędu, są w pewnej mierze umowne. Dlatego spory odnośnie do tego, czy dana mowa jest już językiem, czy dopiero i wciąż jeszcze dialektem, są z naukowego punktu widzenia typowo scholastyczne i drugorzędne. Językoznawcy doskonale wiedzą, że w dużej mierze są to kwestie arbitralnych ustaleń. A ustalenia tego rodzaju są najczęściej pochodną aspirowania pewnych społeczności do autonomii kulturowej albo politycznej. Jeszcze niedawno, za czasów Jugosławii, był język serbsko-chorwacki, a teraz, po rozpadzie tego państwa, mamy osobno serbski, chorwacki i jeszcze czarnogórski. Dlatego polityczna decyzja, aby wesprzeć kulturowe aspiracje Ślązaków przez formalne uznanie ich języka, nie jest i nie może być prostym przeniesieniem wiedzy naukowej na literę prawa. To decyzja polityczna. A w przypadku Śląska decyzja bynajmniej nie osłabiająca integralności Polski. Nikt nie będzie żądał oddzielenia Śląska od Polski dlatego, że istnieje śląski język. Zwłaszcza gdy język ten będzie przez państwo polskie uznawany. A jeśli chodzi o autonomię regionu, to sprawa może jest i sporna, lecz ewentualne lekceważenie śląskości przez władze centralne może jedynie wzmocnić dążenia Ślązaków do autonomii.

To bzdura, że nadanie śląskiej mowie statusu języka regionalnego szkodzi Polsce. Uznanie języka śląskiego bynajmniej nie oznacza odpływania Śląska w stronę Niemiec, jak wyobrażają sobie w swoich paranoicznych głowach pisowcy, lecz wręcz przeciwnie. Poważny, pewny swego naród nie boi się wewnętrznego zróżnicowania ani współżycia z mniejszościami. Różnorodność wzmacnia społeczeństwo i wzbogaca je kulturowo. Każdy wielki naród ma swoje lokalne społeczności, kultywujące swoje lokalne języki, tradycje i zwyczaje. Czasem nawet małe narody bywają wewnętrznie zróżnicowane i umieją tymi różnicami się cieszyć. Tak jest na przykład w Norwegii. Ale co tam Norwegia. To samo dotyczy również bliskich nam Czech.

Dzięki nadawaniu statusu języków regionalnych lokalnym mowom posługujące się nimi lokalne społeczności nie tylko uzyskują należną im satysfakcję i pozycję, lecz otrzymują realne instrumenty, dzięki którym ich język może być zachowany. Mądre państwa wiedzą, jaka to strata, gdy ginie język. A języków Europa utraciła już w epoce nowożytnej dziesiątki. I utraciłaby ich więcej, gdyby nie roztropna polityka językowa wielu krajów. Przykładem język szkocki w Szkocji, limburski w Holandii czy okcytański we Francji.

Odmówić Ślązakom tego, co ledwie 20 lat temu przyznano Kaszubom, czyli uznania ich języka za język regionalny, to zwykła zniewaga, wynikająca z uprzedzenia i paranoicznych obaw. PiS wyobraża sobie, że lojalność wobec narodu i patriotyzm wymagają kulturowego ujednolicenia całego społeczeństwa oraz centralizacji władzy. Myślą ksenofobicznie i totalistycznie, tak jak ich duchowi patroni – aparatczycy partyjni z czasów PRL. To głupota i zacofanie. Ale także coś jeszcze, co ma bardziej etyczny wymiar. Jest w decyzji Dudy pycha i pogarda dla ludzi, którzy chcą podkreślić swoją tożsamość, czyli być sobą. Nie ma czemu się dziwić. W końcu sobą to Andrzej Duda nigdy nie był. Umie być tylko sługą.

JAN HARTMAN

REKLAMA

eprasa.pl f32860a4e5

Zrobieni w balona

Miliard dolków w błoto.

Kiedy szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz podpisał z Amerykanami umowę na zakup czterech aerostatów (czyli dużych balonów z podwieszonymi radarami) za nieomal 4 mld zł, stwierdził: „nowy sprzęt pozwoli na wykrywanie nisko lecących obiektów oraz nawodnych celów". Systemy radiolokacyjne o wdzięcznym imieniu Barbara mają wzmocnić naszą obronność. Jak zwykle przy takich okazjach, nie zabrakło aktów strzelistych miłości do Ameryki. Lider PSL-u stwierdził: „ta umowa definiuje nasze bezpieczeństwo, to kolejny akt współpracy między Polską i USA".

Warto bliżej przyjrzeć się owym balonom.

Takie piękne katastrofy

Tylko w ciągu dwóch tygodni jesienią 2015 r. odnotowano dwie katastrofy amerykańskich wojskowych balonów obserwacyjnych: jedną w stanie Maryland, drugą w Afganistanie.

Ta pierwsza była może nawet zabawna – głównie dlatego, że nikt nie zginął. W grudniu 2014 r. armia amerykańska umieściła w stanie Maryland aerostat, który miał chronić USA przed rakietami dalekiego zasięgu. W niecały rok później sterowiec zerwał się z uwięzi i w ciągu czterech godzin swobodnie przeleciał 250 km. Ciągnąca się za nim dwukilometrowa lina z włókna na bazie polimeru ciekłokrystalicznego zerwała linie energetyczne w Pensylwanii, pozbawiając prądu 18 tys. ludzi i powodując straty w infrastrukturze rzędu 2 mln dolarów. Producentem sterowca był Raytheon – ta sama firma, która dostarczy aerostaty nam.

Balon Raytheona w końcu rozpadł się na dwie części gdzieś w lesie w Pensylwanii. Większa część, gdy spadła – a miała wciąż w sobie hel – została zaatakowana przez stanowych funkcjonariuszy, którzy oddali w jej kierunku ok. 100 strzałów ze strzelb. Zapewnienia wojskowych i producenta, że prawdopodobieństwo zerwania się uwięzi jest „bardzo małe" okazały się nie polegać na prawdzie. Podobnie jak obietnice, że nawet w takim przypadku balon opróżni się automatycznie lub zostanie opróżniony zdalnie i znajdzie się na ziemi w ciągu czterech minut. Okoliczni mieszkańcy poczuli się oszukani, bo wmawiano im, że w razie wypadku sterowiec na 90 procent spadnie w promieniu 20 km od bazy.

Katastrofa ta odbiła się szerokim echem. Były gubernator Arkansas Mike Huckabee powiedział w republikańskiej debacie prezydenckiej: „To, co rząd stworzył, było w zasadzie workiem gazu, który oderwał się, zniszczył wszystko na swojej drodze, pozostawiając tysiące ludzi bezsilnych". Trzeźwo dodał, że nie można było się tego „worka z gazem" pozbyć, „ponieważ zainwestowaliśmy w niego zbyt dużo pieniędzy".

Magazyn śledczy „Intercept" ujawnił, że dwa tygodnie przez katastrofą w USA, brytyjski helikopter wojskowy podchodzący do lądowania w Kwaterze Głównej NATO w Kabulu uderzył w uwięź podobnego balona. Zginęło pięć osób, w tym dwóch członków Sił Powietrznych USA, kolejne pięć odniosło rany.

Naoczny świadek powiedział BBC, że helikopter uderzył w uwięź, która następnie owinęła się wokół wirników. Kabel balonu został przerwany, uciekło z niego powietrze i wart setki milionów dolarów sprzęt poszedł w diabły. Wszystko sfilmowali Afgańczycy i później z niekłamaną satysfakcją umieścili nagranie z katastrofy na Facebooku. Pozostaje mieć nadzieję, że pilot śmigłowca, który w sierpniu 2023 r. na pisowskim pikniku w Sarnowej Górze Black Hawkiem ściął linię energetyczną, będzie trzymany w bezpiecznej odległości od Barbar.

Ale może to odległa historia, a dziś te balony są bezpieczne?

15 maja br. taki amerykański statek powietrzny rozbił się w pobliżu miasta Rmelan w północno-wschodniej prowincji Al-Hasakah w Syrii. Pentagon odmówił komentarza co do przyczyn katastrofy. Spekuluje się, że balon szpiegowski spadł na ziemię z powodu awarii, ale nie sposób wykluczyć, że został celowo zniszczony.

Inwigilacja rodem z Orwella

W braku poważnej debaty o balonach daje się odczuć boleśnie jeszcze jeden aspekt. Dokładnie tak jak u Barei: tak naprawdę nikt nie wie, po co jest ten miś, za to wiadomo, że jest to miś na miarę naszych możliwości i że my tym misiem otwieramy oczy niedowiarkom. Zastanawiające, że choć Polacy nie ufają w ogóle politykom, święcie wierzą, że aerostaty będą wykorzystywane wyłącznie do nadzorowania potencjalnego zagrożenia militarnego ze strony Rosji. Pewnie będą, ale kto nam zagwarantuje, że jakiś żądny władzy polityk, mając w ręku tak poręczne narzędzie, nie ulegnie pokusie, aby wykorzystać je do wzmocnienia władzy i wykończenia przeciwników?

Jak Ronald Reagan powtarzał przy każdym spotkaniu z Michaiłem Gorbaczowem: wierz, ale sprawdzaj. Rozgrzewające społeczeństwo dywagacje dotyczące inwigilacji Pegasusem, pandemia potajemnego (legalnego i nielegalnego) nagrywania w ostatnich kilkunastu latach, jak widać, niczego nas nie nauczyły.

A banalna prawda jest taka, że do balonów można podczepić wszystko, uzasadniając to kwestiami bezpieczeństwa. Przecież decydenci mogą, dla dobra obywateli rzecz jasna, uznać, że trzeba nadzorować wszelką komunikację elektroniczną w promieniu setek kilometrów, a także filmować wszystko z góry. Nie wiadomo przecież, czy ktoś na Podlasiu ogląda filmik z kotkami bawiącymi się motkami wełny, czy też jest to ukryty przekaz armii rosyjskiej z instrukcjami, jak wysadzić w powietrze pół Białegostoku. Obdarzenie kredytem zaufania polityków, służb i wojska, będzie skutkować koniecznością jego spłaty w walucie wolności, swobody i prywatności. Bezprecedensowa inwigilacja rodem z „Roku 1984" George'a Orwella czai się za rogiem.

Wszystkie służby zawsze i wszędzie z radością witają poszerzanie zakresu swych uprawnień. Zwłaszcza niebezpieczne jest to w epoce cyfrowej, kiedy podsłuchiwać i podglądać obywateli można na skalę, która by zawstydziła esbeków w stanie wojennym. I dziś w Polsce będzie to się odbywać pod pozorem walki z ruskimi agentami; co najwyżej pisowcy będą jeszcze ścigać agentów niemieckich.

Lekcja afgańska

Warto obejrzeć w sieci krótki film dokumentalny „The Above" sprzed prawie dekady. Jego reżyserka Kirsten Johnson opowiada o balonie amerykańskim, który podczas okupacji Afganistanu unosił się nad Kabulem.

Ujawniono, że nawet gdy system kamer był wyłączony, wojsko i tak puszczało sterowiec, żeby oddziaływał na miejscową ludność psychologicznie niczym placebo, na zasadzie: jeśli rebelianci pomyślą, że są obserwowani, to będą grzeczni. USA za nic miały skargi na inwigilację, które łączyły się z doniesieniami o bezskuteczności balonów: wciąż zdarzały się ataki samobójcze i wybuchy bomb-pułapek. Co więcej, przy złej pogodzie balony musiały lądować, ukazując podbrzusze z setkami śladów po kulach – widomym dowodem wrogości, jaką budziły u Afgańczyków.

Można zastanowić się, dlaczego – skoro balony obserwacyjne są takim doskonałym narzędziem do walki z wrogiem – po wielu latach Amerykanie wycofali się z Afganistanu, pokonani przez często głodnych, wynędzniałych talibów i dżihadystów? Najpotężniejsza technicznie armia w dziejach nie poradziła sobie z tak prymitywnym przeciwnikiem; a przecież porównywanie możliwości afgańskich rebeliantów z siłami rosyjskimi jest dla każdego absurdalne.

Ludzie słusznie doprowadzani do białej gorączki przez sąsiada filmującego okolicę z drona powinni się zastanowić, jak się będą czuli w sytuacji, gdy parę kilometrów nad głowami zawiśnie im balon obserwujący ich 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Kto bogatemu zabroni

Kiedy słyszymy o czyichś ekscesach, nabywaniu zbytkownych i zbędnych rzeczy czy usług, kwitujemy to stwierdzeniem: kto bogatemu zabroni? Ale w przypadku balonów raczej sprawdza się maksyma: kto biednemu zabroni żyć bogato? Bo jeśli – co jest osobną kwestią, o której też brak rzeczowej debaty – uznać, że realnie grozi Polsce atak Rosji, to czy balony radiolokacyjne są właściwą odpowiedzią?

Śmiem wątpić i naprawdę nie zamierzam słuchać „ekspertów" wojskowych, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze, część z nich jest żywo i osobiście zainteresowana topieniem pieniędzy w broni. Dzięki temu są ważniejsi, a nierzadko – powiedzmy wprost – bogatsi. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, często chodzi o władzę i pieniądze.

Po drugie, od czasów rządów PiS, jeszcze przed rosyjską pełnoskalową inwazją na Ukrainę, wojskowi zachowują się jak rozwydrzone dziecko wpuszczone do cukierni przez nieodpowiedzialnego rodzica. Maluch je oczami i tupie nóżkami, żądając a to lodzika z bitą śmietaną, a to dwóch eklerek, ciasta truskawkowego, do tego zapowiada, że bez sernika babuni nie wyjdzie, ale w sumie to nie ma powodu, by jeszcze nie zamówić babeczek z kremem i czterech kawałków szarlotki. Dzieciak się rozchoruje, ale zapamięta ten cukrowy szał i będzie chciał go regularnie powtarzać.

Gdyby nasz kraj tak jak w technologię wojskową inwestował w edukację wszystkich szczebli, dając rodzicom pewność, że na malucha czeka darmowy żłobek, przedszkole, szkoła i publiczny uniwersytet, zapewne rodziłoby się więcej dzieci. Nie słyszałam też, by ktokolwiek był zadowolony ze służby zdrowia: w kolejkach do przychodni specjalistycznych czeka się długie miesiące, zaś opieka psychologiczna i psychiatryczna są w opłakanym stanie. A to powoduje, że nastolatkowie targają się na życie, bo nie otrzymują na czas pomocy, a emeryci umierają czekając nadaremno na dostanie się do lekarza.

Nie są to bynajmniej lewackie oderwane od życia dywagacje jakichś pięknoduchów, którzy nie rozumieją powagi sytuacji. Prezydent i generał w stanie spoczynku USA Dwight D.

Eisenhower, nieprzejednany antykomunista, przestrzegał w orędziu pożegnalnym przed kompleksem militarno-przemysłowym i przejęciem przezeń kontroli nad życiem społecznym i politycznym,

a nawet duchowym. I swego czasu w prostych żołnierskich słowach mówił – w trakcie wojny koreańskiej! – że każdy okręt wojenny czy wystrzelona rakieta koniec końców jest okradzeniem z żywności głodnych. Parafrazując Eisenhowera, każda Barbara to jeden szpital mniej.

Awantura o Basię?

Stawiam dolary przeciw orzechom, że w przyszłości zakup balonów będzie skwitowany pamiętnymi słowami Kargula: „a taki był ładny, amerykański, szkoda…". Ta technika nawet wśród co trzeźwiejszych wojskowych budzi spore wątpliwości, a doświadczenia pokazują, że jest ona skrajnie niestabilna i podatna na uszkodzenia, także niezamierzone. W epoce dronów kamikadze, pocisków hipersonicznych i pola walki, na którym kluczowe znaczenie ma szybkość, balony na uwięzi są kosztowną aberracją, kolejnym sposobem na tuczenie koncernów zbrojeniowych.

Gdyby, nie daj Boże, naprawdę nas Rosja zaatakowała – będziemy mogli za Januszem Laskowskim zanucić, że najbardziej nam żal baloników na druciku…

KATARZYNA KOENIG

Ilustr. PAWEŁ FERENC

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zabawny jest Michał Szczerba, gdy straszy Daniela Obajtka aresztem. Zabawny jest Jarosław Kaczyński, gdy mówi, że działalność ludzi nie ma wpływu na klimat. Zabawny jest Andrzej Duda, gdy mówi o tym, że niedługo Polacy będą mieli tyle samolotów, że nie będzie ich gdzie zaparkować. Zabawnie stroją miny Donald Tusk i Tomasz Siemoniak, gdy o wojnie z uchodźcami wypowiadają się jak militaryści i reprezentanci przemysłu zbrojeniowego. Ale najzabawniejszy jest człowiek pozostający na marginesie (albo nawet poza marginesem) polskiej polityki – „komik, pisarz i przedsiębiorca mieszkający w Arizonie" Wojciech Cejrowski, z którym porozmawiał ostatnio przedstawiciel tygodnika „Do Rzeczy".

Cejrowski jest zabawny, gdy mówi, że nienawidzi Unii Europejskiej, środowisk LGBT i „Gazety Wyborczej". I że kocha niepodległość Polski i niepodległych Polaków, lecz tych na świecie jest tylko jeden – Polak Cejrowski.

Ale jeśli Cejrowski mówi, że w wyniku wojny w Ukrainie „powinniśmy odzyskać Lwów, czyli ziemie rdzennie polskie wraz ze wszystkimi zabytkami, biblioteką", to nie jest już zabawny, tylko niebezpieczny. Jest groźny, jeśli się modli „codziennie na kolanach o to, by Trump rządził kolejne cztery lata".

Na szczęście to, co mówi Cejrowski, niewiele znaczy. Chociaż kiedyś to, co mówił Andrzej Duda, też niewiele znaczyło…

eprasa.pl f32860a4e5

Co tak naprawdę wydarzyło się w PAP?

Widmo wojny krąży nad Europą

31 maja, kiedy wszyscy byli w połowie upojnego długiego weekendu, Polska Agencja Prasowa SA w likwidacji, jedyna oficjalna agencja informacyjna polskiego rządu podała, że: „1 lipca 2024 r. ogłoszona zostanie w Polsce częściowa mobilizacja wojskowa. 200 tys. obywateli Polski, zarówno byłych wojskowych, jak i zwykłych cywilów zostanie powołanych do obowiązkowej służby wojskowej. Wszyscy zmobilizowani zostaną wysłani na Ukrainę.

(…) Mobilizacja odbędzie się w kilku etapach: od 1 lipca 2024 r. do 1 listopada 2024 r., podczas których zmobilizowanych zostanie 200 tys. osób. Mobilizacja obejmie przede wszystkim te osoby, które wcześniej odbywały już służbę wojskową (w sumie 27 tys. osób), ale także przedstawicieli zawodów pozamilitarnych.

W mobilizacji – przymusowym werbunku – wezmą udział obywatele Polski, którzy przeszli badania lekarskie i znajdują się na przygotowanej liście rezerwy wojskowej MON. Obywatele Ukrainy przebywający legalnie w Polsce już takiej mobilizacji nie podlegają. Jako powód, przedstawia się brak ich obywatelstwa polskiego”.

Informacja ta widniała ponoć na witrynie Agencji przez dwie minuty, a potem została skrupulatnie usunięta, gdyż, jak twierdzi szef Kancelarii Premiera Jan Grabiec – PAP padł ofiarą ruskiego cyberataku i jest w rzeczy samej nieprawdziwa.

Tak może ściemniać tylko ktoś, kto nie wie, jak działa PAP, nie orientuje się w rzeczywistych możliwościach światowego hakerstwa, ale jakoś musi wytłumaczyć, że doszło do casus belli.

Kiedy utonie Duda

Informacja ta, napisana bezbłędną polszczyzną, trudno podrabialną dla kogoś, kto nie byłby polskim dziennikarzem agencyjnym, jest prawdziwa i nieprawdziwa zarazem. Widzi to każdy, kto w jakiejś agencji informacyjnej pracował. Wszystkie agencje prasowe świata mają w swoich archiwach oraz w gotowości informacje, które nigdy się nie ukazały i nigdy się nie ukażą.

Są to informacje stworzone na wszelki wypadek. Na zaś. Komunikaty formułowane w oczekiwaniu.

Pośród nich są nekrologi. Zapewne koledzy z PAP mają już przygotowany news w tonie: „W dniu (wpisz datę) odszedł po krótkiej chorobie wielki mąż stanu, światłość w ciemnościach obłąkanego świata, premier Polski, prezydent Europy, wieloletni poseł, przewodniczący największej partii, człowiek słynący z umiarkowania i nieposzlakowanej opinii (itd., itp.) Donald Tusk”. Podobne notki biograficzne zawsze przygotowywane były na tragiczne okoliczności, do których przeważnie nie dochodziło. Tożsame drafty tworzone są na wypadek katastrof lotniczych i budowlanych, zatonięć statków, klęsk żywiołowych oraz oczywiście działań możliwych do podjęcia przez władze w nadzwyczajnych okolicznościach. Nie jest tajemnicą, że w 1981 r. komunikaty o wprowadzeniu stanu wojennego, co miało miejsce w grudniu, oczekiwały na swoje upublicznienie – lub nie – przez PAP od września.

Można postrzegać takie dziennikarskie zachowanie jako bezduszne i cyniczne, ale podyktowane jest ono pragmatyką. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby prezydent Duda utopił się w rezultacie wypadku na skuterze wodnym w sobotę rano, kiedy w dziale krajowym PAP dyżuruje dwóch stażystów. Jednego boli głowa po gorączce piątkowej nocy, a drugi jest świeżo upieczonym gamoniem po dziennikarstwie na umowie śmieciowej. PAP wysyła informację o śmierci Andrzeja Dudy w świat w poniedziałek rano z błędami ortograficznymi i w bułgarskiej składni!

Zatem informacja o mobilizacji jest prawdziwa, w tym sensie, że stworzona na wszelki wypadek. Bogata w dane, których ktoś nieobeznany w polskiej specyfice i prawie nie mógłby użyć. A już ruski na pewno by coś pokręcił.

Kot hakera w ciemnym pokoju

Hakerstwo jest zresztą bardzo przereklamowane. Największymi wrogami cyberbezpieczeństwa są specjaliści od cyberbezpieczeństwa. 95 proc. ataków hakerskich, które skutkowały wprowadzeniem jakichś fałszywych danych, pochodziło z wewnątrz organizacji. Hakerami okazują się zazwyczaj osoby, które doskonale znały systemy firmowe z racji zatrudnienia. Najczęściej są to mściwi pracownicy, którzy zostali wyrzuceni, byli niedoceniani lub chcą zamanifestować swoją moc. Z zewnątrz można system zniszczyć, odciąć go od sieci. Bez wiedzy o jego naturze i bez pomocy wtajemniczonego, włamanie do papowskiego Systemu Zarządzania Treścią (CMS Drupal – jak sądzę) jest mniej więcej tak samo możliwe, jak znalezienie czarnego kota w ciemnym pokoju, jeśli go tam nie ma.

Obstawiam, że informację o mobilizacji zamieścił informatyk, który pobrał ją z folderu „tajne specjalnego znaczenia”, ponieważ właśnie jest zwalniany z roboty przez PO, która robi czystki w PAP.

Chcesz pokoju, nie gotuj się do wojny

Wnioski z tego, poważnego czy marginalnego – rząd jeszcze nie wie – incydentu są wielorakie. Po pierwsze: jeśli mam rację, że Rosjanie nie stoją za atakiem, bo żadnego ataku nie było, teraz już wiedzą, iż polski rząd poważnie przygotowuje się do wojny. A ogłoszenie mobilizacji to krytyczny casus belli wielu konfliktów. Wojna między Rosją a Niemcami w 1914 r. była odpowiedzią na carski ukaz mobilizacyjny. Mobilizacja pruska, w odpowiedzi na spory o hegemonię w Niemczech między Austrią a Prusami, była powodem wybuchu wojny w 1866 r. Mobilizacja ogłoszona przez Rosję w roku 1853 doprowadziła do tak zwanej Wojny Krymskiej, w którą wmieszali się Francuzi i Anglicy.

Dlatego między innymi prezydent Ignacy Mościcki, który nie chciał wojny, chociaż oczywistą była jej nieuniknioność, zwlekał, ile się dało. Ogłosił mobilizację 30 sierpnia, 24 godziny przed niemieckim atakiem.

Ale owe plany mobilizacyjne – które oczywiście są – oznaczają, że Tusk chce wojny. Nie ma żadnych pomysłów ani wizji na ustanowienie w naszej części świata pokoju.

Każdy może świat podpalić

Ten incydent oznacza również, że prawdopodobieństwo wybuchu wojny z Rosją przez przypadek, a może nawet przez niekoniecznie sterowanych przez jakikolwiek rząd idiotów – powiedzmy białoruskich pionierów, którym przyjdzie do głowy zasztyletować polskiego pogranicznika – jest tak duże, że nie do opanowania. Incydent, który doprowadzi do światowego kataklizmu, może już wywołać każdy chuligan.

Wszyscy siedzimy na atomowej beczce prochu, co jakby nikomu nie przeszkadza. Świat osiąga poziom nonsensu, który jednak nikogo o zdrowych zmysłach nie oburza.

W minionym tygodniu prezydent Biden – który twierdzi, że Ameryka nie prowadzi wojny z Rosją, a Ukraina jest niezawisłym i samostanowiącym o sobie państwem – zgadza się na to, aby ukraińskie wojska użyły wyrzutni dalekiego zasięgu do niszczenia celów w głębi Rosji. No do kurwy nędzy! Kto jest dowódcą tych ukraińskich wojsk – prezydent Ameryki czy Ukrainy? Podobne zgody zostały udzielone przez Niemcy, Norwegię i Francję, które wszystkie należą do NATO. Kto zatem dowodzi? Mózg ukraińskiej armii jest w Kijowie czy w Brukseli?

Dyskusja w piaskownicy

Jednocześnie szef NATO Jens Stoltenberg twierdzi, że wykorzystywanie przez Ukrainę broni otrzymanej od państw NATO do atakowania celów w Rosji nie czyni Sojuszu stroną konfliktu. No to jest przecież kpina ze zdrowego rozsądku. Stolenberg wygłasza te absurdalne tezy w sytuacji, kiedy Miedwiediew rzecze: „Cały sprzęt wojskowy i specjaliści NATO walczący przeciwko nam zostaną zniszczeni zarówno na terytorium byłej Ukrainy, jak i na terytorium innych krajów, jeśli stamtąd rozpoczną się ataki na terytorium Rosji. To nie jest pomoc wojskowa, ale udział w wojnie przeciwko nam. (…) Rosja jest gotowa do użycia taktycznej broni jądrowej w odpowiedzi na konflikt zbrojny z NATO. Dla wrogich krajów, których ziemie znajdują się poza zasięgiem taktycznej broni jądrowej, istnieje potencjał strategiczny. Nie jest to ani zastraszanie, ani nuklearny blef. Obecny konflikt zbrojny z Zachodem rozwija się zgodnie z najgorszym możliwym scenariuszem”.

Ale szef NATO oświadczenia byłego rosyjskiego premiera traktuje jak żart. „Groźby Władimira Putina wobec NATO to nic nowego.(…) Prezydent Putin próbuje nas zastraszyć”.

To jest poziom dyskusji chłopców z przedszkola. Ty zdzieliłeś Franka kijem, ja ci oddałem łopatką. Nie strasz mnie, że nasypiesz mi piasku w oczy, bo się ciebie nie boję. W tonie sześciolatków rozmawiają faceci, którzy uśmiercić mogą miliony ludzi.

Impotencja

Nie piszę tego, aby wyzłośliwiać się nad stanem rzeczy, ale w poczuciu niemocy. Podobnie, jak rządy w Europie, nie mam dobrego pomysłu, jak wyjść z tej – przez nas nie do końca zawinionej – groźby zagłady z życiem. Gdybym miał jakiś pomysł napisałbym do Tuska: „Słuchaj Donek, jest taka sprawa. Rób tak i tak, a dostaniesz Pokojową Nagrodę Nobla”. Do Putina już napisałem. Ale morderca nie posłuchał.

Bowiem problem i przyczyna tej wojny ma tylko z pozoru genezę historyczno-polityczną. Nikt już nie wie, o co w niej chodzi. A chodzi w niej o to, że 71-letni abstynent z mieszczańskiego domu, sportowiec i jebaka, poczuł się dotknięty przez o 30 lat młodszego narkomana i hucpiarza, który robił sobie z niego jaja przy każdej sposobności. Zamiast wysłać skrytobójców, którzy poderżnęliby mu gardło i sprawę zakończyć, w oburzeniu zaordynował czołgi, ściągając na siebie wieczną hańbę, a swojego przeciwnika okrył światową sławą. Zabito już 400 tys. ludzi. To jest bardzo trudna psychologicznie sytuacja, w której coś mogliby zdziałać psychiatrzy. Ale tych w otoczeniu jednego i drugiego nie ma.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

List to prezydenta Putina z 2022 roku pozostał bez odpowiedzi. (Na życzenie udostępnię treść, jakby ona kogoś obchodziła).

Wpadła mi w ręce książka Jacquesa Bauda pt. „The Russian Art of War. How the West led Ukraine to Defeat” („Rosyjska sztuka wojenna. Jak Zachód doprowadził Ukrainę do klęski”). Pułkownik Jacques Baud to szwajcarski analityk wojskowy, specjalista ds. Europy Wschodniej, były członek wywiadu strategicznego NATO, szef doktryny operacji pokojowych ONZ, a także doradca NATO na Ukrainie. Trudno go posądzać o prorosyjskość. Twierdzi on, że wszystkie informacje, jakie Europejczycy dostają na temat tego, co dzieje się na Ukrainie – a więc informacje wgrane do europejskich mediów głównego nurtu – pochodzą z ukraińskiej propagandy. A dotyczy to „liczby rannych, zabitych, poszczególnych incydentów, właściwie wszystkiego”.

W Europie na początku wojny wyłączono wszystkie medialne przekaźniki rosyjskie, eksponując jednocześnie ukraińskie. Obywatele UE przyjęli z pokorą do wiadomości, że to dla naszego bezpieczeństwa, bo ze strony rosyjskiej płyną wyłącznie kłamstwa, natomiast ze strony ukraińskiej tylko prawda.

Prawda wojny

Przypomnijmy zatem niektóre prawdy, budzące przecież w nas niezapomniane emocje. Zaczęło się od informacji o bohaterskiej śmierci obrońców Wyspy Węży, którzy na propozycję poddania się odpowiedzieli podobno zwrotem „Idi na chuj!”. Jeden z czołowych polskich aktorów piał z zachwytu, a jego entuzjazm był powtarzany w telewizji w nieskończoność. Ba, w świat poszła natychmiast informacja, że prezydent Zełenski przyznał dzielnym chłopcom pośmiertnie najwyższe odznaczenia wojskowe. Już mało kto interesował się tym, że dwa dni później bohaterowie cudownie zmartwychwstali, przebywają w rosyjskiej niewoli i czują się dobrze.

W podobny sposób rozchodziła się prawda o rosyjskich gwałtach na ukraińskich kobietach. A ponieważ nie zrobiło to oczekiwanego wrażenia na Europie, więc poleciała nowa prawda o tym, że Ruscy gwałcą niemowlęta. O, to już był gruby kaliber, świat zakolebał się ze złości, a nasi funkcjonariu-

Dlaczego uchodźcy z Gazy lądują w Federacji Rosyjskiej?

Pięć autonomicznych republik kaukaskich – czeczeńska, dagestańska, inguszecka, kabardyno-bałkarska i karaczajewo-czerkieska – wchodzi w skład Federacji Rosyjskiej. Oczywistym jest, że zgodę (a może nawet polecenie) przyjęcia uchodźców ze Strefy Gazy wydano w Moskwie. Można się w tym, owszem, dopatrywać politycznego interesu Rosji, która w ten sposób zyskuje poparcie w świecie arabskim i muzułmańskim – jednak od intencji ważniejsze są efekty. W tym przypadku: konkretna pomoc ofiarom izraelskich ataków.

Liczba uchodźców – 576 osób – nie jest wprawdzie imponująca, ale trzeba pamiętać, że niewielkie kaukaskie republiki to nie wielomilionowa Unia Europejska i ich możliwości są w tym względzie znacznie ograniczone.

• • •

Akcję przyjmowania uchodźców zainaugurowano w Dagestanie. Być może po to, aby poprawić wizerunek tej republiki nadszarpnięty po ekscesach antysemickich, potępionych zresztą publicznie przez tamtejszy muzułmański kler. Dagestańskie ministerstwo pracy zadeklarowało gotowość przyjęcia 200 uchodźców, których umieszczono w ośrodku wypoczynkowym, gdzie każda rodzina dostała do dyspozycji własny pokój. Pieniądze na pomoc uchodźcom,

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Minister Spraw Zagranicznych Radek Applebaum z domu Sikorski odniósł się na łamach brytyjskiego „Guardiana” do potencjalnego użycia przez Rosjan broni jądrowej: „Amerykanie powiedzieli Rosjanom: jeśli użyjecie broni nuklearnej, nawet jeśliby nikogo nie zabiła, uderzymy bronią konwencjonalną w wasze cele na Ukrainie i zniszczymy je wszystkie. Myślę, że to wiarygodna groźba”. Optymizm ministra jest wzruszający.

☆ Violetta Baran na portalu wp.pl szokuje nagłówkiem: „»Poruszał się sztywno«. Sensacyjne doniesienia o Putinie”. Z artykułu dowiadujemy się, po pierwsze, że sensacją są niepotwierdzone informacje, iż podczas obchodów Dnia Zwycięstwa Władimir Putin mógł mieć na sobie kamizelkę kuloodporną. Po drugie, że u zatrudnionych w Wirtualnej Polsce putinologów słabną objawy obłędu – dotychczas pisali głównie o tym, że Putin umiera: na raka, atak serca, Parkinsona i nielojalność uzbrojonych ochroniarzy.

☆ Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” Bogusław Chrabota: „71 proc. Polaków nie chce, by Polska wysłała żołnierzy do Ukrainy. »Za« jest ledwie 9 proc. Nie ma zdania w tej sprawie 20 proc. W grupie badanych poniżej 24 r.ż. wynik jest jeszcze mniej korzystny dla chcących angażować polskie wojsko w tej wojnie. Przeciw jest 73 proc. badanych. (…) To dane sondażu SW Research wykonanego dla »Rzeczpospolitej«. Pozornie tylko informacja o aktualnych poglądach Polaków. Lustro, w którym odbija się opinia szerokich kręgów polskiego społeczeństwa. Jednak ta bolesna dla obrońców Ukrainy, ale w pełni wytłumaczalna nad Wisłą wiedza może stać się również – chcemy tego czy nie – śmiercionośną bronią w rękach Rosji”. Czy zlecający ów sondaż Chrabota, właśnie przyznał się do przekazywania Rosjanom „śmiercionośnej broni”?

☆ Głosem rozsądku w tej samej gazecie okazuje się prof. Roman Kuźniar z Uniwersytetu Warszawskiego, który pisze: „Czy Rosja ma intencje wyruszenia przeciwko Polsce (Europie) z wielką ofensywą lądową, czy taka leży w interesie Rosji. Wbrew wielu alarmistycznym poglądom nic na to nie wskazuje. Przykład Ukrainy jest tu całkowicie bezużyteczny. Wobec Ukrainy Rosja miała pretensje terytorialne, często je ogłaszała i taką inwazję zapowiadała. A to ze znanych powszechnie powodów historyczno-ideowych. Rosja ich nie ukrywa. Czy Moskwa ma pretensje terytorialne lub domaga się »denazyfikacji« władz w Polsce? Nic o tym nie wiadomo”. Czekamy na nową książkę Tomasza Piątka pt. „Kuźniar i jego tajemnice”.

☆ Sobotnia „Gazeta Wyborcza” opublikowała artykuł o ucieczkach Polaków na wschód pt. „Jedno jest pewne: umrzesz!”. Autorzy opisali wyjeżdżających do Rosji od czasów jagiellońskich do lat 30. XX wieku i faktycznie wszyscy już umarli.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl f32860a4e5

Prawda pada na froncie

Ukraina oczami szwajcarskiej onucy.

sze medialni przypominali codziennie o tej zbrodni. Do momentu, gdy ukraińska rzeczniczka praw obywatelskich pojawiła się we włoskim parlamencie i na pytanie o gwałcenie niemowląt odpowiedziała, że to nieprawda, ale ona musiała tak powiedzieć, aby Europa zwróciła uwagę na męczeństwo Ukrainy.

Później w komunikatach wysyłanych do europejskich mediów pojawiła się informacja o rosyjskim ostrzale szpitali, szkół, przedszkoli, teatrów i innych miejsc określanych mianem wrażliwych. Że tak się dzieje dzień w dzień i że jest to seryjna zbrodnia wojenna. Atoli międzynarodowa komisja z ramienia Amnesty International, która zbadała sytuację na miejscu, napisała w swoim raporcie, że „podczas odpierania rosyjskiej inwazji wojska ukraińskie naraziły ludność cywilną na niebezpieczeństwo, zakładając bazy wojskowe w zaludnionych obszarach mieszkalnych takich jak szkoły i szpitale, a także obsługując w tych miejscach systemy broni".

„Udokumentowaliśmy strategię działania ukraińskich sił wojskowych, która naraża ludność cywilną na ryzyko i narusza Konwencję Genewską" – powiedziała Agnès Callamard, sekretarz generalna Amnesty International i dodała, że „obrona nie zwalnia ukraińskich wojskowych z przestrzegania międzynarodowego prawa humanitarnego".

Nieprawda pokoju

A skoro już i tak bluźnimy – warto też przypomnieć mało znane fakty, które zadecydowały o tym, że konflikt nadal trwa, a nowe amerykańskie pociski awansowały na szczyt szczęścia dla nienasyconych bardów wojennych zmagań. Jacques Baud rozpatruje w swojej książce okoliczności, w jakich dochodziło – ale nie doszło – do porozumienia pokojowego między Rosją a Ukrainą.

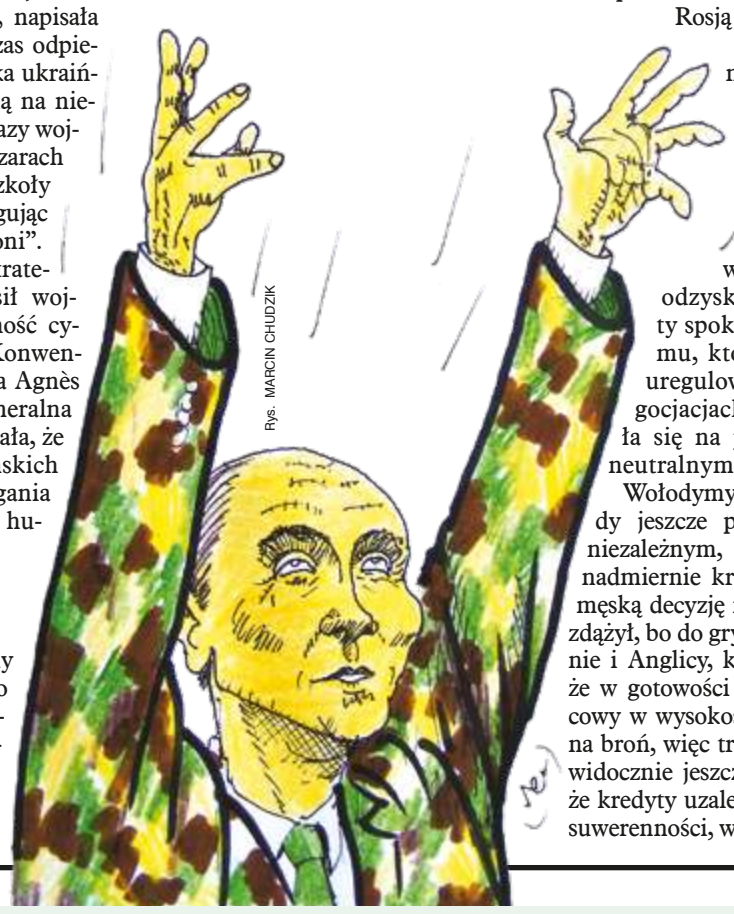

Rys. MARCIN CHUDZIK

Pierwsza taka próba nastąpiła już 25 lutego 2022 r., a więc na drugi dzień po rozpoczęciu przez Rosję „specjalnej operacji wojskowej".

Jakie szanse miała wtedy Ukraina? Mogła odzyskać cały wschód i święty spokój – na razie bez Krymu, którego status miał być uregulowany w dalszych negocjacjach – gdyby zdecydowała się na pozostanie państwem neutralnym.

Wołodymyr Zełenski był wtedy jeszcze prezydentem w miarę niezależnym, bo nieobarczonym nadmiernie kredytami. Mógł podjąć męską decyzję i podpisać rozejm. Nie zdążył, bo do gry wtrącili się Amerykanie i Anglicy, którzy oświadczyli mu, że w gotowości jest już pakiet pomocowy w wysokości 450 milionów euro na broń, więc trzeba strzelać. Zełenski widocznie jeszcze wtedy nie wiedział, że kredyty uzależniają, osłabiają tarczę suwerenności, więc wybrał strzelanie.

W miesiąc później Rosjanie wystąpili z podobną propozycją, ale wtedy Amerykanie podwyższyli stawkę o kolejne kilkadziesiąt baniek i znowu wygrało zabijanie.

Przy trzeciej próbie pokojowej, która odbyła się w Stambule, doszło już nawet do parafowania rozejmu, lecz oto w Kijowie nagle pojawił się rozczochrany blondyn pełniący wówczas funkcję premiera Wielkiej Brytanii. Nikt nie zna treści pouczenia, na jakie pozwolił sobie Johnson wobec Zełenskiego, ale wyobraźnia podpowiada, że mogło być tak: „Oj, zawiedliście nas, towarzyszu Zełenski. My wam, wicie-rozumicie, kredytujemy najlepsze czołgi świata, a wy za naszymi plecami znowu podpisujecie ugodę z Rosją?"...

Wyobraźnia zapewne mnie ponosi i brytyjski premier prawdopodobnie nie mówił językiem pierwszego sekretarza KC KPZR, ale tak czy inaczej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wybuchł skandal nazwany ludobójstwem w Buczy. I oto po raz trzeci padł projekt prawie gotowej umowy pokojowej.

Sprawa Buczy – wbrew ogólnemu wrażeniu, które mają odbiorcy zachodnich mediów – pozostaje dyskusyjna. Wersję ukraińską podważa fakt, iż z uwagi na proces pokojowy w Stambule wojsko rosyjskie wycofało się z okupowanej wcześniej Buczy 30 marca 2022 r. 31 marca odbyła się defilada ukraińska, a mer Buczy, Anatolij Fiedoruk, ogłosił święto wyzwolenia miasta. W przemówieniu mera nie było ani słowa o jakichkolwiek zwłokach na ulicach, a on sam – co zaobserwowałem na zdjęciach – miał twarz uśmiechniętą i zadowoloną. 1 i 2 kwietnia obowiązywał zakaz wjazdu do miasta z nieznanych przyczyn. 3 kwietnia pojawiają się w internecie zdjęcia kilkudziesięciu martwych ludzi w cywilnych ubraniach leżących tam, gdzie trzy dni temu spacerował uśmiechnięty mer Fiedoruk z innymi osobami – a jednocześnie w angielskich mediach błyszczą informacje o zbrodni wojennej, popełnionej przez żołnierzy rosyjskich. Pod presją opinii publicznej Zełenski zrywa porozumienie pokojowe.

I co dalej?

Baud wielokrotnie powtarza, że wojna na Ukrainie zaczęła się nie w roku 2022, ale w roku 2014. Akurat wtedy rząd w Kijowie wydał manifest zabraniający używania języka rosyjskiego w kontaktach oficjalnych, a jednocześnie kule poleciały w stronę okien rosyjskojęzycznych mieszkańców Doniecka, którzy nie potrafili szybko nauczyć się ukraińskiego.

Można było negocjować, można było dużo ugrać, ale akurat w Europie wygasła moda na dyplomację, a nowy prezydent Ukrainy Petro Poroszenko ogłosił akcję antyterrorystyczną.

Z czasem stało się jasne, że celem Zachodu w tej wojnie nie jest zapewnienie wsparcia Ukraińcom, ale doprowadzenie do porażki Rosji w możliwie najszerszym tego słowa znaczeniu. Ukraińcy są w tym kontekście ludźmi do brudnej roboty.

Jacques Baud wyklucza jednocześnie tezę promowaną przez innych komentatorów europejskich (bo publicyści amerykańscy są jednak ostrożniejsi w prorokowaniu), jakoby Rosja zamierzała zaatakować Europę po pokonaniu Ukrainy. Tymczasem na starym kontynencie wszyscy (na czele z polskimi generałami w stanie spoczynku) „wiedzą", że Rosja „musi" napaść na Europę, bo taka wizja pasuje do już ustawionego modelu przesterowania gospodarek narodowych na specjalizację wojenną.

Czego by się nie wymyśliło, jedno jest pewne. Rosji nie da się pokonać, tak samo jak nie da się pokonać Ameryki. Rosja nie może pozwolić sobie na porażkę z prostego powodu: byłaby to nieodwracalna klęska wizerunkowa. W sytuacji wybitnie podbramkowej mocarstwo sięgnie po środki nadzwyczajne i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Po Europie pozostanie już tylko wspomnienie, a tych wszystkich, którzy od 30 lat powtarzają, że „za tydzień" Rosjanie nie będą mieli z czego strzelać, raczej nie będzie miał kto pochować.

MIROSŁAW PRANDOTA

Europa nie dla Palestyńczyków

zwłaszcza rodzinom wielodzietnym (do Dagestanu przybyło 82 palestyńskich dzieci) zbierał także charytatywny fundusz Insan; już pierwszego dnia wpłynęło 20 mln rubli. Ogółem na pomoc dla Palestyńczyków zebrano kwotę wystarczająca na zakup 100 tys. ton pomocy humanitarnej. Do pomocy uchodźcom włączyli się obywatele republiki, szkoły, firmy prywatne i organizacje społeczne. Część uchodźców rozpoczęła studia lub szkolenia zawodowe (np. dla manikiurzystek). Jednak koło 90 proc. przybyłych do Dagestanu Palestyńczyków stanowią lekarze, z których większość zdobyła wykształcenie w Rosji, co oczywiście ułatwi im kontakt z pacjentami. Palestyńczykom obiecano przyznanie statusu uchodźców – 62 osoby otrzymały już rosyjskie paszporty.

Do Czeczenii przybyło 206 palestyńskich uchodźców. Część znalazła zatrudnienie w służbie zdrowia, część od jesieni będzie pracować w szkołach jako nauczyciele angielskiego i arabskiego. Małe dzieci trafiły do przedszkoli. Rozpoczęto budowę mieszkań dla przesiedleńców. Dla dzieci i dorosłych utworzono grupy nauki rosyjskiego.

Jednocześnie władze Czeczenii niedwuznacznie dają uchodźcom do zrozumienia, kto tu rządzi. Odpowiedzialny za tę akcję minister ds. narodowościowych Achmed Dudajew pouczył ich, że mają utrzymywać czystość, za to nie muszą zbytnio się spieszyć z rozwiązywaniem swoich problemów – co zdaniem znawców tamtejszych obyczajów pozostawałoby w sprzeczności z tradycyjną czeczeńską gościnnością. Dudajew polecił też, aby uchodźcy wybrali spośród siebie starostę upoważnionego do kontaktów z władzami – co utrudni indywidualne wnoszenie skarg czy postulatów. Taka praktyka zgodna jest z modelem autorytarnej władzy sprawowanej w czeczeńskiej republice przez prezydenta Ramzana Kadyrowa.

Niezależnie od dosyć paternalistycznego traktowania palestyńskich uchodźców, znaleźli oni schronienie, otrzymali pomoc oraz wsparcie ze strony czeczeńskich władz; w czym czołową rolę odegrał, niejako z urzędu, minister Achmed Dudajew.

Tymczasem w dwa dni po tym, kiedy czeczeńskie władze poinformowały o przyjęciu przesiedleńców, resort finansów USA włączył Dudajewa do listy osób objętych sankcjami. Niewykluczone, że to przypadek – można podejrzewać, że waszyngtońskie służby prasowe nie czytają portalu „Kawkazskij Uzieł", choć jest dostępny również w wersji angielskiej, jako „Caucasian Knot". Możliwe jednak też, że był to kolejny gest amerykańskiego (pośredniego tym razem) poparcia dla Izraela. Sam Dudajew oświadczył, że jest dumny i szczęśliwy, ponieważ amerykańskie sankcje to dowód, że podąża prawidłową drogą.

Sankcje przewidują zakaz podróży do USA oraz zamrożenie rachunków bankowych.

Dudajew skomentował pogodnie, że na Zachodzie nie był i się nie wybiera, a tym bardziej nie posiada tam żadnych aktywów finansowych. Ważne, aby nie podpaść pod sankcje prezydenta Kadyrowa, a na amerykańskie można napluć – dodał.

Czeczenia wysyła także pomoc humanitarną bezpośrednio do Strefy Gazy, przy wykorzystaniu korytarza powietrznego z terenu Jordanii. Również Armenia wysłała za pośrednictwem Egiptu 30 ton produktów spożywczych, głównie konserw, oraz lekarstw, w tym antybiotyków.

Uchodźcy z Palestyny znaleźli też schronienie w republikach inguszeckiej, kabardyno-bałkarskiej i karaczajewo-czerkieskiej. Do Inguszetii przybyło w trzech turach 86 przesiedleńców. Większość z nich zakwaterowano w pokojach hotelowych, zapewniono im pomoc medyczną. Zebrano ponad 150 ton żywności, lekarstw, odzieży, pościeli, a także namiotów i przenośnych piecyków. „Mieszkańcy Inguszetii przynoszą pieniądze, częstokroć przeznaczone na leki, odłożone z emerytury" – mówi szef funduszu charytatywnego Teszam. Przez Egipt do Gazy wysyłane są leki. Uchodźcy otrzymali tzw. paszporty socjalne, na podstawie których określana jest potrzebna liczba miejsc dla dzieci w szkołach i przedszkolach.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Do Republiki Karaczajewo-Czerkieskiej przybyła z moskiewskiego lotniska grupa licząca 40 palestyńskich uchodźców, w tym 26 dzieci. Zapewniono im zakwaterowanie w ośrodku wypoczynkowym, pożywienie i odzież, dzieciom obiecano przyjęcie do szkół, naukę rosyjskiego.

Kabardyno-Bałkaria przyjęła 50 przesiedleńców w tym 21 dzieci, których umieszczono w sanatorium w Nalczyku. Zostali oni powitani w Moskwie przez przedstawicieli funduszu charytatywnego Insan, nakarmieni i przewiezieni pociągiem do Nalczyka i Czerkieska. Niektórzy narzekają na trudności związane z integracją – chodzi głównie o bezczynność wynikającą z braku pracy; inni skarżą się, że nie mają pieniędzy i nie mogą korzystać z komunikacji miejskiej.

• • •

Państwa europejskie nie kwapią się do przyjmowania uchodźców z Gazy. Do pewnego stopnia może je tłumaczyć fakt, że Europa ma poważne problemy z napływem emigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Jednak nie do końca – Palestyńczycy to zaledwie promil spośród rzesz imigrantów. Można domniemywać, iż solidarność z palestyńskimi uchodźcami stoi w sprzeczności z obowiązującą na Zachodzie tzw. poprawnością polityczną nakazującą okazywanie poparcia dla Izraela przy jednoczesnym traktowaniu Palestyńczyków jako wrogów żydowskiego państwa, jeśli nie terrorystów.

Trudno pogodzić to myślenie z europejskimi wartościami humanitaryzmu i solidarności.

BKJ

eprasa.pl f32860a4e5

Rys. TOMASZ WIATER

Diabeł tkwi w Polsce

Gdzie egzorcysta nie może, tam babę pośle.

Na gościnne występy do Polski przyjechała Angela Musolesi, wieloletnia asystentka wieloletniego egzorcysty ks. Gabriela Amortha – prawdziwej gwiazdy branży. Gwiazdy nieżyjącej od 2016 r., co dla ludzi Kościoła kat. nie jest żadną przeszkodą w zarabianiu na nim pieniędzy.

Musolesi przyjechała nad Wisłę, by promować swoją książkę „Ty jesteś moją zgubą. Śladami nauczania księdza Gabriele Amortha", traktującą o zawrotnej karierze profesjonalnego wyganiacza diabła i jego spektakularnych sukcesach oraz ujawniającą tajniki niełatwego przecież fachu egzorcysty. Jak każde dewocyjne szaleństwo, została u nas ciepło przyjęta i odbyła mintrasę koncertową po katolickich mediach i przybytkach pobożności. Co gdzie indziej spotka się najwyżej ze wzruszeniem ramion, u nas zyskuje poklask. Taka gmina.

Święta skara Janka

Ponieważ tylko opętani mówią w nieznanych sobie językach, asystentka nieżyjącego egzorcysty potrzebowała tłumacza. Na co dzień włada włoskim, co nie jest dziwne, bo jest to język zbliżony do łaciny, a tego języka podobno najbardziej nie lubi i boi się szatan. Być może dlatego jest to język martwy – diabeł zabił go ze strachu. Z kolei uczący się łaciny przeżywają piekło oraz doznają poczucia bezsensu i rozpaczy.

Przybywająca z ziemi włoskiej do Polski Angela Musolesi podczas spotkań autorskich zapewniała, że celem książki jest dawanie nadziei. Domyślamy się, że wydawnictwo i autorka mają nadzieję na zysk, bo „egzorcysta Watykanu", choć dawno zimny, wciąż rozgrzewa publikę. Na podstawie jego obfitych wspomnień wyszedł niedawno film „Egzorcysta papieża" w którym zagrał Russel Crowe, a na horyzoncie widać kolejną jego część (filmu, nie Crowe'a). Grzechem byłoby nie skorzystać z okazji, gdy się z Amorthem prawie 30 lat współpracowało.

Asystentka egzorcysty z racji wykonywanej profesji jak diabeł święconej wody unika okazji do grzechu, skorzystała więc z koniunktury i dała swoje świadectwo życia u boku gladiatora Pana Boga.

Nie zdziwi chyba nikogo, że Musolesi wielokrotnie powoływała się w swoich wystąpieniach na JP2. Oprócz oczywistego podlizania się lokalnemu audytorium i potencjalnym nabywcom książki, podpowiadają to także względy teologiczne. W końcu nawet skarpetka papieża Polaka zrobiła w temacie egzorcyzmów więcej niż hektolitry wody święconej i tony soli egzorcyzmowanej. Wspominał ks. Maciej Gutmajer, że

na widok skarpety pobłogosławionej dotykiem stopy świętego diabeł krzyczał wniebogłosy i wił się w spazmach. „Wkładam jej tę relikwię pod głowę i rozlega się wściekły, męski głos: weź tego Janka, weź to białe, zabierz go, śmierdzi"

– relacjonował egzorcysta z reporterską dokładnością. Bardziej zastanawiające jest dla nas to, że książę ciemności mówił o największym Polaku per „Janek" jak o kimś dobrze znajomym, choć może niezbyt lubianym. Można by to, przy odrobinie złej woli, zinterpretować tak, że z powodu zbyt długiego przebywania w towarzystwie Wojtyły nawet sam diabeł miał go dosyć. Ale lepiej nie brnijmy, nie chcemy mieć nalotu egzorcyzmokommando na redakcję.

Opętanie ratusza, pakt ministry

Wizyta Anegli Musolesi w Polsce jest jak najbardziej w porę, mamy bowiem do czynienia z atakiem sił nieczystych na nasz kraj na skalę dotychczas niespotykaną. Decyzja Rafała Trzaskowskiego o krzyżach w warszawskich urzędach to chyba niepodważalny znak, że ojczyźnie JP2 przydałby się on sam ze swoją bielizną lub chociaż Gabriele Amorth. Z obiektywnych przyczyn nie mogą się oni pojawić fizycznie, Bóg zatem przedrzeźnił diabła i posłał nam babę w postaci Musolesi. Ona sama – jako pobożna katoliczka – świadoma jest swych niewieścich ułomności. W wywiadzie dla „Gościa Legnickiego" z irytacją i pretensją pytała: „Dlaczego ja, kobieta, muszę mówić o diable?". Gdzie ci mężczyźni? Okazuje się, że nawet księża to dupy wołowe, bo nasza bohaterka spotyka się z takimi, którzy w diabła nie wierzą i podważają sensowność pracy egzorcystów.

Stołeczny ratusz to tylko jedna z piekielnych bied nękających naszą ojczyznę.

Diabeł w polskiej polityce to nie tylko Trzaskowski. Na inny trop wpadła autorka „Gościa Niedzielnego" Milena Kindziuk. Opisując wizytę asystentki Amortha w Polsce pobożna publicystka napisała: „»Po związki partnerskie, po równość małżeńską, po ustawę o uzgodnieniu płci, po godność i prawa człowieka dla społeczności LGBT pójdę do piekła i zawiążę pakt z diabłem« – te słowa pani minister do spraw równości błyskawicznie obiegły sieć i zyskały popularność w niektórych środowiskach młodzieżowych. Poruszyło mnie to do głębi. Słowa »pójdę do piekła i zawiążę pakt z diabłem«, powiedziane w tym kontekście, nawet jeśli są tylko metaforą, mogą mieć nieprzewidziany rezonans. Są jak woda na młyn dla młodych, którzy coraz częściej zaczynają »bawić się« w zawiązywanie paktu z diabłem. Między wypowiadanymi dla zabawy czy – jak kto woli – dla idei słowami a rzeczywistością, która może sprawić, że ktoś naprawdę wpadnie w sidła szatana, granica jest cienka. Słowa mają moc. A potem już mogą być potrzebne egzorcyzmy". Za tak finezyjne pożenienie LGBT z cyrografem należą się red. Kindziuk wielkie brawa i wyrazy uznania, gdyż nie poszła na łatwiznę jak większość jej kolegów i koleżanek.

Kazamaty ks. Salcesona

Nie tylko polityka jest opętana. Od dawna wiadomo, że telewizor to wymysł szatański. Władca piekieł na dobre zadomowił się w popkulturze. Katolickie media chętnie przytaczają słowa C.S. Lewisa, że „kiedyś diabeł miał utrudnioną pracę, bo musiał każdego z osobna kusić. Dzisiaj ma do dyspozycji wielkich pomocników, ma do dyspozycji media, które jego diabelskie idee przekazują milionom ludzi, zwłaszcza ludziom młodym, zatruwając ich świadomość". I nie miał bynajmniej na myśli Radia Maryja czy Telewizji Trwam, bo to stacje z antenami nakierowanymi głównie na osoby starsze. Gorszy od telewizji jest tylko Zachód, zwłaszcza ten w postaci Unii Europejskiej (szatany chodzą stadami). Telewizja plus Europa – to dopiero demoniczny duet. A przecież tym właśnie jest Eurowizja. „Czy Eurowizja to konkurs piosenki, czy promocja satanizmu?" – pytał, komentując występ przedstawiciela Irlandii, ks. Sebastian Picur, znany też jako „ksiądz z TikToka". Ewidentnie diaboliczny charakter show zdemaskował też inny autorytet, Edyta Górniak, niegdysiejsza gwiazda tego konkursu. „Wygląda na to, że Antychryst robi nam przysługę, aby ludzkość wreszcie się przebudziła. I określiła, jakiego świata chce. Będzie drażnił wszystkie nasze zmysły coraz bardziej. Do skutku. I jeśli ludzkość nie określi swojego serca i sumienia, nie przyjmie mocnej i czystej postawy – tornado zła zniszczy wszystko, co napotka. Jesteśmy już w tej chwili bardzo blisko piekła na ziemi" – podsumowała Górniak. A przecież żyje już, jak sama twierdzi, cztery tysiące lat, więc niejedno w życiu widziała.

Sytuacja jest o tyle niebezpieczna, że reżim Tuska więzi jednego z najpotężniejszych polskich egzorcystów, ks. Michała Olszewskiego, którego złośliwi nazywają Salcesonem. Ci sami złośliwi twierdzą, że kapłan ów siedzi w areszcie za przekręty z Funduszem Sprawiedliwości w tle, ale my swoje wiemy. Sprawa jest poważna i wszystkie ręce na pokład. Tym bardziej że – mimo ataku ze wszech stron – walka nie jest przegrana. Zapewniała o tym Angela Musolesi w mediach Tadeusza Rydzyka. „Myślę, że zwycięstwo Kościoła przyjdzie poprzez Polskę. Nie mówię tego dlatego, że tu jestem, ale jestem co do tego przekonana. Zawsze to mówiłam, polscy kapłani są najpoważniejsi na świecie. Widziałam tutaj pobożność do Eucharystii".

My też przeróżne rzeczy widzieliśmy w Polsce i wciąż napatrzeć i nadziwić się nie możemy.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Zwracam się do Pana, Panie Premierze, nawiązując do częstej narracji Pana i Pana grupy politycznej o* ***„imperium ojca Rydzyka", o rzekomym dawaniu mojej osobie ogromnych pieniędzy przez poprzedni rząd.*** *Panie Premierze!* ***To jest wprowadzanie w błąd słuchaczy Pana. My pracujemy na chwałę Bożą, dla wspólnego dobra, dla naszej Ojczyzny, rodaków, ludzi. To jest nasze powołanie i mamy obowiązek to czynić.*** *(…) Wszystkich proszę o gorącą modlitwę o oddalenie od nas – od całej Polski – demonów kłamstwa.* ***Pan Jezus powiedział nam, że szatan jest ojcem kłamstwa i mordercą człowieka od początku.***

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 28 maja

■ ***Bóg zawsze jest z tymi, którzy cierpią*** *skazani jak Jezus Chrystus.* ***Był w komorach gazowych, obozach, gułagach…*** *Nie ma Go natomiast w sercach tych, którzy odrzucają Jego miłość i skazują na śmierć i cierpienie niewinnych – prześladowanych, abortowanych, gwałconych.*

ks. Janusz Chyła, X, 28 maja

■ *Wiemy, że duchowe dzieci marksizmu, potomkowie komunistów,* ***jeśli nie nawrócili się na chrześcijaństwo, to są raczej wyznawcami genderyzmu.*** *To jest pseudoreligia, którą teraz wyznają.*

ks. Dariusz Oko, „Do Rzeczy", 26 maja

■ ***„Świeckie Państwo"*** *to hasło wytrych, pod który podpina się* ***coraz bardziej niebezpieczne koncepcje, demoralizujące człowieka i destabilizujące wspólnotę narodową.*** *Szalejący w Europie* ***neomarksizm coraz zuchwalej posuwa się w procesie ateizacji i rozbijania tożsamości.*** *Doświadczamy tego w Polsce. (…) Komu służy hołdowanie bolszewickim tradycjom? Bo przecież nie chodzi tu o świeckie państwo, które i tak już mamy.* ***Tu chodzi o uczynienie z Polski ateizowanego kołchozu, w którym wiernopoddańczo wyznaje się neomarksistowską ideologię.*** *(…) Wojująca, zideologizowana mniejszość nie ma prawa urządzać nam życia. To moment dziejowej odpowiedzialności. Trzeba opowiedzieć się po jednej ze stron.*

Marzena Nykiel, wPolityce.pl, 25 maja

■ ***Walka z obecnością znaku krzyża w przestrzeni publicznej jest dowodem szerzenia się ideologii laicyzmu. Często jest także jawnym działaniem zmierzającym do instalowania bezbożnictwa oraz ateizacji życia ludzkiego.*** *Jest to zatem działanie jawnie złe, bo godzące w szczęście człowieka, posiadanie przez człowieka dobra najwyższego. (…) Ci, którzy opowiadają się za usunięciem krzyża z przestrzeni publicznej, dają wyraz temu, jakie są ich prawdziwe zamiary oraz jaki mają stosunek do spraw najważniejszych dla człowieka.* ***Dowodzą, że są zdolni do destrukcji naszej tożsamości narodowej, cywilizacyjnej, bo walcząc z krzyżem, tak naprawdę toczą walkę z Bogiem i Kościołem.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 25 maja

Rys. OBYWATEL JANEK

■ *Jak patrzę na ostatnie 10 lat, to lewactwo rozsypało się w instytucjach unijnych i pchało do przodu swoją lewicową agendę. (…) Jeśli będziemy spolegliwi, leniwi, nie policzymy się 9 czerwca, to już będzie Europa bez wartości chrześcijańskich. To już będzie Europa, w której tylko relatywizuje się pojęcie płci. (…)* ***Przecież nasza religia jest religią miłości. Mamy do czynienia z odwracaniem pojęć, zohydzaniem tradycji i religii.*** *Musimy mieć świadomość, że oni się nie zatrzymają, dlatego wszyscy musimy być dziś absolutnie niezwykle aktywni i świadomi, że* ***jest to lewicowy zamach, który chcą przeprowadzić na naszą europejską, chrześcijańską tożsamość.***

Jadwiga Wiśniewska, europosłanka (PiS), Radio Maryja, 24 maja

■ *W momencie, kiedy laicyzm i różne formy bezbożnictwa stałyby się polskim standardem, to dowodziły-*

eprasa.pl f32860a4e5

Msza za Skrobankowo

Krótka historia doli kobiet w mieście Łodzi

Podobno wizytę Wojtyły w Skrobankowie – 13 czerwca 1987 r. – wychodził biskup łódzki Władysław Ziółek. Był on również mentorem Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, które przygotowało dla Watykanu „Raport o Łodzi”. Stało w nim to, o czym ćwierkały wszystkie ptaszki: że w mieście liczba szacowanych spędzeń płodów przekracza liczbę żywych urodzeń. Jest to metoda antykoncepcyjna włókniarek.

Maryja na trzeciej zmianie

„Przegląd Katolicki” wydrukował wówczas tekst Marty Miklaszewskiej, w którym cytuje ona wypowiedź włókniarki z Unionteksu, czyli zakładu, w którym modlił się Lolek. Nigdy wcześniej ani później żaden papież nie gramolił się do hali fabrycznej – ani w obronie Solidaruchów i wyskrobków, ani w ogóle!

„Kiedy miało przyjść czwarte dziecko, mąż sam namawiał »Idź raczej do szpitala«. W pracy radzili: »Po co dokładać do pijaństwa jeszcze jedno dziecko«. Bóg mi może wybaczy – myślałam. I byłam już umówiona na zabieg z lekarzem, ale w nocy miałam sen. Pochyliła się nade mną Matka Boska i mówi: »Popilnuj mego Dzieciątka, bo muszę iść na trzecią zmianę«. I dlatego urodził się Krzysio – nasz jedyny syn”.

W owym „Raporcie o Łodzi” jest o mieście zanieczyszczonym przez włókiennicze chemikalia i azbest. Zdegradowane powietrze, woda, gleba. Na ekspozycje dwutlenku krzemu jest wystawione 40 proc. stanowisk pracy, a w Marchlewskim, czyli dawnym Poznańskim (obecnie centrum handlowe Manufaktura) – 65 proc. Kij z tym, skoro bezpieka nazywa Marchlewskiego Częstochową, a prządki stawiają święte obrazki, żeby nici się nie rwały.

Akrylonitrylem truje Chemitex-Anilana. Cała Łódź wibruje – huk maszyn. Rodzą się namiętnie wcześniaki i kaleki. Tu jest najniższy przyrost naturalny w PRL. Tu jest najwyższa umieralność niemowląt. „Raport o Łodzi” donosi do Watykanu o endemii niektórych chorób zakaźnych – jeśli chodzi o umieralność na choroby zakaźne i pasożytnicze w grupie wiekowej 1–6 lat Łódź jest liderem w Europie. Dwie trzecie matek włókniarek choruje na choroby przewlekłe. Ale gadają z NMP i czekają na papieża – jest rok 1987. 13 czerwca…

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Dupa fabrykanta, lud robotniczy

Zorganizowały dla białego dziada oryginalny fotel Scheiblerowski, czyli po dupie fabrykanta, który wzniósł tę fabrykę w XIX wieku. Wtedy była olbrzymia i wciąż jest. Fabryka, nie dupa.

Papa Wojtyła dostanie kryształowy wazon z herbami Watykanu, Polski, Łodzi i Unionteksu oraz wierszyk napisany przez emerytowaną włókniarkę Zofię Iwasińską. Wierszyk leci, no zajebiście!

Kobicina pisze prawie równie dobrze, co papież poeta:

„Drżą nasze serca pełne wdzięczności
że, Ojcze Święty, u nas zagościsz
Niech Twoje Oczy, pełne słodyczy
obejmą cały lud robotniczy
Jako powietrza, wody i chleba
Błogosławieństwa Twego nam trzeba
które nas wesprze i doda siły”…

13 czerwca 1987 r. – z łódzkiego lotniska Lublinek śmigłowiec przywozi do fabryki papę. Jest godzina 15.00. Maszyny zatrzymane. Kończąca robotę zmiana poranna, zamiast iść do domu, pcha się na mszę do hali fabrycznej w tkalni C. Papież też już sobie popracował – rozdawał komunię szczeniakom. „Zmiłuj się, zmiłuj”, wydzierają się baby, czyli jest coś na rzeczy, że to jednak Skrobankowo. Wiatraki zatrzymane, baby w fartuchach, nieprzebrane, spocone, zaryczane. Papa też w porannych ciuchach.

Ulice Łodzi puste, gorąco, kto nie jest wybrańcem w Unionteksie, ten tkwi przed telewizorem i ogląda, jak papa gada.

Posłannictwo Burdelowni

A papa gada, że „w ostatnich latach przez całą Polskę przeszło wielkie solidarne wołanie, w które kobiety, także włókniarki, wniosły swój wielki wkład – o godność człowieka, pracy”.

A papa gada, iż „szczególne jest posłannictwo żony i matki” oraz, że należy „dowartościować pracę domową kobiet”.

I gładko przechodzi do wychwalania Łodzianki, akuszerki Stanisławy Leszczyńskiej, która wykonywała swoja pracę nawet w Auschwitz, przy okazji chrzcząc żydowskie dzieci, żeby były chociaż mniej żydowskie, jak sobie polecą do nieba kominem… I jest ikoną ruchu pro-life.

„Z tym głosem sumienia” – rzecze Wojtyła – „solidaryzuje się cały Kościół, który nie przestaje liczyć na ofiarność polskiej matki wobec jej powołania, na ofiarność i poświęcenie kobiet,

na ich przywiązanie do chrześcijańskich tradycji, na ich wytrwałość w obronie religijnych i moralnych wartości w rodzinie i w narodzie”.

Histeria, ekstaza, on udaje i one udają… Ale za kilka lat całkiem serio włókniarki pójdą na bruk, a miasto zasłynie z tego, że jest Burdelownią. Bida zapiszczy i trudno będzie się nawet wyskrobać, ba, będzie to niemożliwe, bo nasi rozmodleni politycy postanowią z polskich cipek zrobić białemu papie prezent. Nie ma z tej okazji wierszyków? Jaki wstyd!

Za to zachował się list włókniarek: list odezwa z 5 września 1991 r. Zaczyna się on od „My, kobiety z całej Polski zgromadzone w mieście kobiet – Łodzi”… Blablabla… A dalej jest o tym, że „prawa ekonomiczne i socjalne kobiet należą dziś do najbardziej zagrożonych, przestały być prawami z nadania państwa, stając się funkcją możliwości ekonomicznych gospodarki opartej na zasadzie zysku”. Blablabla… „zamach na wolny wybór w kwestii planowania rodziny”, blablabla… „dziś w desperackim żalu po utraconych nadziejach”, blablabla… Cóż, jest takie łódzkie powiedzenie: „Widziały gały, co brały”. A brały Wojtyłę i kapitalizm.

IZABELA SZOLC

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

by tego, że ***upadliśmy na rozumie, a całe nasze życie duchowe, cywilizacyjne zmierza do upadku, bo jest przesycone nienawiścią.***

dalej Skrzydlewski

■ ***W historii jest taka prawidłowość, że zaczyna się od katolików, a później będą kolejne grupy społeczne czy wyznaniowe, które nie będą pasować do wzorca ideologicznego.*** *Zwróćmy uwagę, iż jesteśmy świadkami uderzenia nie tylko w symbole religijne, ale także dotyczące tożsamości narodowej.* ***Walka wypowiedziana flagom narodowym również wpisuje się w szeroko zakrojony plan inżynierii społecznej, kulturowej, która w historii zawsze nazywała się wojną kulturową lub kulturkampfem, co w naszej historii kojarzy się bardzo źle.*** *(…) To jest dowód na szerszy proces przyzwyczajania Polaków do tego, że flaga narodowa to jest coś, co nie podlega szczególnej ochronie, co można zastąpić czymś innym, równoważnym.* ***W tle jest przekaz, że tęczowe barwy są równoważne z barwami narodowymi.*** *To jest edukacja publiczna, która ma na celu przekonać młode pokolenie Polaków, że nie ma nic świętego.*

prof. Grzegorz Kucharczyk, Radio Maryja, 26 maja

KLECHA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Coraz szersze kręgi zatacza afera wokół Hospicjum św. Wawrzyńca w Gdyni. Przypomnijmy: w lipcu ubiegłego roku Prokuratura Rejonowa w Pucku wszczęła śledztwo dotyczące nieprawidłowości w finansach placówki w latach 2011–2023. Chociaż samo hospicjum zostało zbudowane z 1 proc. podatków mieszkańców Gdyni na działce podarowanej stowarzyszeniu przez miasto, a dyrektor ośrodka ksiądz Grzegorz Miloch, dysponując kapitałem na bieżącą działalność z różnych instytucji, m.in. z NFZ, przedstawiał sprawozdania finansowe odpowiednim organom, uwagę śledczych zwróciło, że poza jakąkolwiek kontrolą pozostawały wpływy z charytatywnych aukcji, koncertów czy wpłaty prywatnych darczyńców. Wskutek kreatywnej księgowości klechy braki na kontach placówki mają sięgać 500 tys. zł. Z doniesień byłych i obecnych pracowników hospicjum wynika, że ksiądz Miloch uczynił z niego prywatny, nepotyczny biznes, zatrudniając członków rodziny, a także swoją konkubinę, z którą ma córkę. Teraz duchowny twierdzi, że informacje z hospicjum wynosi „ruski szpion” i odgraża się pracownikom, że kapuś po zdemaskowaniu straci pracę. Śledztwa prokuratury i klechy są w toku.

✚ Na Podkarpaciu w odpowiedzi na kampanię do Parlamentu Europejskiego kandydatki Lewicy Iwony Urban, trzech proboszczów z sąsiednich miejscowości rozpoczęło kontrofensywę. Mieszkańcy Lublicy, Kołaczyc i Sieklówki żalą się, że księża zmuszają ich do ściągania z ogrodzeń wyborczych banerów Urban, dodatkowo zdarza się, że te są zrywane pod osłoną nocy. Duchowni grożą sympatyzującym z lewicową kandydatką lokalsom, że wyczytają ich na niedzielnej mszy lub nie zatrudnią do prac przy kościele. Kleszy kolektyw miał też straszyć mieszkańców, że Urban „przywiezie z Brukseli eutanazję i wąglika”, a „Lewica to śmierć i aborcja”. Zupełnie nie rozumiemy księży – gdzie wady?

✚ Obrońca księdza Michała Olszewskiego – znanego z egzorcyzmowania salcesonem i przytulenia 66 baniek z Funduszu Sprawiedliwości – przekazał, jak miewa się duchowny, który od końca marca przebywa w areszcie śledczym. W rozmowie z Radiem Maryja mecenas Krzysztof Wąsowski powiedział, że po ostatnich doniesieniach prasowych i słynnych taśmach, które krążą w mediach, sytuacja wygląda gorzej. „Wzbudza to oczywiście agresję współwięźniów, którzy mogą mieć telewizory w celach. I szykanują ks. Olszewskiego w sposób werbalny, są to wyzwiska, (…) to jest permanentne, także w nocy. Sytuacja psychiczna ks. Olszewskiego jest fatalna” – podkreślił adwokat. Zaledwie kilka dni przed wywiadem w rydzykowej rozgłośni Wąsowski chwalił się w jednym z serwisów sportowych zamiłowaniem salcesonowego klechy do klubu Legia Warszawa. Mamy przypuszczenie graniczące z pewnością, że joby i faki nie lecą za przekręt z Funduszu Sprawiedliwości, ale ksiądz trafił pod celą na kibiców Lecha Poznań.

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ 1 czerwca na plebanii parafii św. Stanisława Biskupa Męczennika w Żerkowie w województwie wielkopolskim od rany postrzałowej zginął 31-letni ksiądz. Służby zaalarmował proboszcz parafii, który usłyszał wystrzał. Duchowny został postrzelony w pomieszczeniach mieszkalnych, które zajmował. Według ustaleń policji wikary posiadał pozwolenie na broń, nie wiadomo jednak, czy postrzelił się sam, czy w zdarzeniu brały udział osoby trzecie. Prokuratura prowadzi śledztwo.

✚ Parafia Matki Bożej Częstochowskiej w Gliwicach musiała wyłączyć kuranty i dzwony. Wszystko dzięki skardze jednego z mieszkańców. To doskonała informacja dla wszystkich wkurwionych podobnym jazgotem z innych kościołów. Skarga na parafialne bimbały przeszła przez Urząd Miejski w Gliwicach do Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Katowicach i narobiła niemałego hałasu. Przeprowadzono pomiary, które wykazały, że dzwony znacznie przekraczały dopuszczalne normy hałasu. W jednym z punktów kontrolnych odnotowano przekroczenie o 9,5 decybeli, a w drugim o 7,8. Parafia miała natomiast zezwolenie na 55 decybeli w ciągu dnia. Dodatkowo okazało się, że parafia nie przeprowadziła okresowego badania hałasu, a dźwięk dzwonu emitowanego przez kościelny system audio, był puszczany codziennie w godzinach 6.00–21.00, nawet gdy nie było świąt czy kościelnych uroczystości, co łamało przepisy prawa o ochronie środowiska. Kościół przestał więc emitować bicie dzwonu, lecz nie z troski o dobro ludzi i zwierząt, a o własną dupę, gdyż każdy gong kosztowałby 300 zł.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl f32860a4e5

Żeby Unia była Unią!

Autobus czerwony

Wielce cenię profesora Grzegorza Kołodkę i czerpię z krynicy mądrości jego, kiedy tylko mogę. Ostatnio w wywiadzie dla portalu Wprost ocenił stan polskiej gospodarki. Gospodarka wypadła nieźle, ale Kołodko, znakomity ekonomista, były wicepremier i minister finansów, wytknął jej brak innowacyjności. Dążenia przedsiębiorstw do tworzenia polskich marek opartych na nowych technologiach.

Niedobory te wynikają z kilku przyczyn, przede wszystkim braku długofalowej polityki przemysłowej państwa. Braku instytucji kreujących politykę, która wspierałyby rozwój takich gałęzi gospodarczych.

Bez ich wsparcia polskie firmy mogą być jedynie podwykonawcą zagranicznych koncernów oraz montować i dystrybuować produkty innych.

Nietrudno zauważyć, że na podobną dolegliwość cierpi nasza Unia Europejska. Coraz częściej przegrywająca konkurencję z chińskimi produktami i jednocześnie zmagająca się z pobudzaną właśnie do innowacyjności gospodarką USA.

Wyścig elektryków

Cierpienia gospodarcze starej Unii coraz bardziej odczuwalne są w sektorze produkcji samochodów elektrycznych. Tam globalna wojna handlowa rozkręca się, czasem ciosy przychodzą z niespodziewanej, „sojuszniczej” strony.

Niedawno nasi militarni alianci z Waszyngtonu ogłosili podwyższenie ceł na samochody elektryczne. Z 27,5 do 100 proc. Dodatkowo wzrosnąć mają także cła na stal, aluminium, części baterii, ogniwa fotowoltaiczne, ale też farmaceutyki i wyroby medyczne. Niektóre opiewać mają na 50 proc.

Oficjalnie te cła mają uderzyć w produkty pochodzenia chińskiego. Bo administracja prezydenta Bidena oskarża Chiny o ukryte dotowanie swej produkcji samochodów elektrycznych, co ma dawać im przewagę cenową nad produkowanymi w warunkach „wolnej konkurencji” samochodami amerykańskimi.

„Szukam rywalizacji, ale uczciwej” – mówił w kwietniu o rynku aut elektrycznych prezydent Joe Biden. Ta deklaracja wywołała falę ironicznych komentarzy w europejskich mediach – ale tylko tych w Europie Zachodniej. Antychińskie cła uderzają w produkty innych państw, także wiernych europejskich sojuszników z NATO.

Bo jak zauważa brytyjski „The Guardian”, nowe cła mają teraz lepiej chronić amerykańskie firmy. Dać im czas na ogarnięcie się i rozwój sektora zielonych technologii. Dlatego mówienie o uczciwej rywalizacji i jednoczesne nakładanie zaporowych ceł w celu zwiększenia uczciwości, czyli bezpardonowej walki z zagraniczną konkurencją to pic, gadki dla ciemnego ludu z Unii Europejskiej.

Taktyka wojny handlowej administracji USA z chińskim przemysłem motoryzacyjnym jest prosta. Najpierw ta sama administracja wpompowała pobrane z budżetu państwa setki miliardów dolarów w prywatne firmy amerykańskie. Przede wszystkim te produkujące lub zamierzające robić samochody elektryczne. Pod oszukańczym hasłem walki z inflacją. Bo wedle nadal wyznawanej przez elity medialne, polityczne i moralne demokratycznego Zachodu religii wolnej konkurencji i wolności handlu, taki państwowy interwencjonizm to bolszewia i socjalizm. Śmiertelny grzech liberalizmu gospodarczego, jednego z ideologicznych filarów demokratycznej cywilizacji Zachodu.

Co wolno Ameryce…

Wcześniej kontrolowany przez administrację waszyngtońską Międzynarodowy Fundusz Walutowy wiele razy odmawiał biednym państwom z Afryki, Ameryki Południowej, Azji i wschodniej Europy pożyczek lub zawieszał kolejne ich transze – za takie właśnie praktyki. Bo miały one łamać święte zasady wolnego rynku, wolnej konkurencji. Za pożyczane pieniądze owe gospodarki miały dokonywać gospodarczych reform ułatwiających zachodnim firmom robienie tam interesów.

Zdarzało się też w historii, że ten demokratyczny Zachód, krzewiąc ową wolność konkurencji, rynku i handlu, używał kanonierek do bombardowania opornych na cywilizacyjny postęp portów w Japonii, Korei, Chinach, Filipinach, na Kubie i w paru innych miejscach. Aby zmusić je do otwarcia się na import zachodnich towarów. Kupowania ich bez ograniczeń, zwłaszcza celnych.

Zasady wolnego przepływu ludzi, kapitału, usług i produktów stanowią też jeden z fundamentów gospodarki Unii Europejskiej. W naszej uważającej się za szlachetną Unii nadal pomoc finansowa przekazywana z państwowych budżetów bezpośrednio do prywatnych firm jest ideowo zakazana. Jako zła, nieuczciwa konkurencja.

Oczywiście praktyka bywa inna. Są polityki unijne, które dopuszczają taką pomoc. Na przykład transport kolejowy może być dotowany z pieniędzy unijnych i rządowych, ale budowy lotnisk i krajowe linie lotnicze już nie. To przypominam wszystkim „cepekom”, czyli entuzjastom pompatycznego Centralnego Portu Komunikacyjnego, których ostatnio rozmnożyło się nam, nawet na lewicy, przy okazji kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Cóż, kiedy jest kampania, to politycy głupieją.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Podobnie jest w USA. Jednak choć nadal dominuje tam ekonomiczna religia wolnej konkurencji i handlu, to obecna administracja praktykuje ją niczym polscy biskupi katolicyzm. Wymaga przestrzegania jej reguł od innych, siebie zaś zwalnia od tego obowiązku.

W uwielbiającej szlachetne deklaracje Unii Europejskiej stara religia wolności gospodarczej też nadal jest głoszona. Przynajmniej w mediach głównego nurtu. Bo była w interesie przodujących produkcyjnie Niemiec i Francji.

Przez lata niemieckie samochody łatwo się sprzedawały, bo miały opinię niezawodnych. Francuskie też, bo były ładne i często niedrogie. Bo państwo francuskie mocno i często jawnie tylko francuskie firmy wspierało.

Dobre, choć chińskie

Przez dziesiątki lat niemieccy, francuscy, japońscy, koreańscy, amerykańscy producenci samochodów montowali swe produkty w Chinach. Było tam taniej i bliżej do stale rosnącego rynku zbytu. Z biegiem lat zagraniczne marki dostawały chińskie nazwy. Ze względów marketingowych. Słowo „Opel” miliony Chińczyków potrafiło wymówić. Nie budziło tam szczególnych skojarzeń. Ale już wymawiany z chińską intonacją „Peugeot” brzmiał jak miejscowe, slangowe określenie młodej dziwki. Trudno było zrobić kampanię radiową zachęcającą takim brzmieniem do kupowania nowego modelu tej marki.

Już w tamtych latach Chińczycy nie poprzestawali na montowaniu i nacjonalizowaniu zagranicznych technologii. Choć mogli sycić się sporymi zyskami i dbać o relaks. Zarabiane na montażu pieniądze inwestowali. Mądrze, bo przede wszystkim w innowacje technologiczne. Robotyzację, choć siły roboczej nadal im nie brakuje. Systematycznie tworzyli własny sektor produkujący samochody elektryczne oparte na chińskich technologiach. Auta, baterie samochodowe, stacje do ich ładowania. Wszystko o wiele tańsze niż w USA i Europie.

Atrakcyjna cena oferowanych teraz ich elektryków jest efektem tańszej siły roboczej. Do tego doliczyć trzeba państwowe dopłaty dla producentów eksportujących te samochody. Takie cła dodatnie.

Za taką państwową pomoc chińscy producenci są gromko krytykowani przez wolnorynkowy Zachód. Śladem krytyki idą cła nakładane na chińskie produkty. Żeby było uczciwiej, jako rzekł prezydent Biden.

Niestety, cła w wielce zglobalizowanej gospodarce są bronią obosieczną. Wszystkie czołowe gospodarki nie tylko wiele sprzedają, ale też dużo kupują. Chiny, które dziś są liderami w głoszeniu religii wolnego handlu, też nie gęsi. Też swe cła mają i mieć mogą.

Jednak przewaga rynkowa chińskich elektryków nie polega jedynie na państwowych dotacjach i tanich kosztach produkcji. Chińscy producenci przez wiele lat cierpliwie uczyli się i doskonalili w sztuce wyrobu ich.

Z roku na rok chińskie samochody stawały się coraz bardziej „mniej zawodne”. Jak te niemieckie. Coraz bardziej upodobniały się swą urodą do francuskich. A rosnącą wielkością – do amerykańskich.

Dziś nawet zachodni eksperci motoryzacji ze zdziwieniem i bólem przyznają, że chińskie elektryki mają też techniczną przewagę nad zachodnią konkurencją. Są zwyczajnie nowocześniejsze!

W XIX wieku demokratyczny Zachód zbrojnie zmuszał autarkiczne Chiny do zniesienia ograniczeń w handlu i kupowania nowoczesnych produktów zachodnich. Dziś administracja prezydenta Bidena zamyka się przed chińskimi nowoczesnymi technologiami, aby dać sobie czas na nadrobienie swego przemysłowego zacofania. Zacofania tylko sektorowego, ale sektora niezwykle ważnego społecznie, politycznie i medialnie prestiżowego.

Dlatego działa ona jak państwowy ekonom, wzorem radzieckiej polityki przemysłowej z lat 30. XX wieku.

Nasza Unia Europejska ma wielki rynek zbytu. Ma silne produkcyjnie gospodarki oparte o szczytne technologie z końca XX wieku. I coraz większą lukę technologiczną, zwłaszcza związaną z ambitnym programem Zielonego Ładu.

Nie ma nadal swojego ekonoma zmuszającego wciąż dobrze radzące sobie europejskie gospodarki do innowacyjnego skoku, technologicznego wysiłku.

Wygląda na to, że zielony ład zrobią nam za nas czerwone firmy z Chin.

PIOTR GADZINOWSKI

Od lat darcie łacha z pomysłów Brukseli jest standardem tak dziennikarskim, jak i politycznym. Żurnaliści mają dzięki temu kasę, a politycy eurosceptyczny elektorat. Nic więc dziwnego, że od miesięcy na tapecie są Fit for 55 i Zielony Ład. Oba te koncepty unijne odsądzane są od czci, wiary i zdrowego rozsądku. Dokładnie tak jak mnóstwo brukselskich dyrektyw od zawsze. Ale najzabawniejsze jest to, że bardzo wiele zupełnie – zdawałoby się – idiotycznych pomysłów Komisji Europejskiej po latach zaczyna mieć ręce i nogi.

Kąpanie bakterii

Wiadomo, że Unia ma hopla na punkcie oszczędzania energii w sprzętach AGD. Ale wcale nie dlatego najczęściej pierzemy w pralkach w zalecanej przez producenta ubrań temperaturze wynoszącej 40 stopni Celsjusza. Oszczędność energii wymyślili w tej kwestii producenci proszków i słabej jakości tkanin. Bo otóż w tej zalecanej temperaturze szlag trafia tylko kurz i plamy, pozostawiając żywymi buszujące choćby w kale mikrożyjątka.

Naukowcy popatrzyli przez mikroskop na coś, co wyciągnęli z pralki i zdumieli się. Na wypranych majtkach było ledwie 14 proc. mniej bakterii e-coli niż na takich niepranych.

Jeszcze ciekawiej działo się na bębnie pralki. Upstrzony był bowiem ponad 100 milionami bakterii fekalnych. Oprócz e-coli był tam i gronkowiec złocisty, zdarzały się salmonelle i całe siedliska wirusów. Oczywiście na pierwszy rzut oka bęben błyszczał i pachniał. Tak jak pranie, na którym nie było śladu zabrudzenia.

Pierzemy w 40, a nawet 30 stopniach z wielu powodów. Żeby kolory się nie spierały, żeby zaoszczędzić energię, a przede wszystkim dlatego, żeby ubrań nie trafił szlag. Kiedyś, kiedy bielizna była bielizną, czyli po prostu była biała, wrzucało się pościel i majtki do wielkiego kotła, dorzucało mydła i gotowało. Potem płukanie i wywieszenie tego na sznurkach na słońcu. Gdy jakiś mikrob przeżył wrzątek, to szlag go trafiał od emitowanego przez słońce promieniowania ultrafioletowego. No, a potem jeszcze magiel lub żelazko.

Dziś jesteśmy ekologiczni i oszczędni. Tak jak producenci, którzy do każdej tkaniny dorzucają nieco sztucznych nitek. Dorzucają, a potem zakazują tego prasować gorącym żelazkiem pod karą roztopienia.

W czasach białej bielizny w praniu używano wybielaczy, czyli środków szkodliwych dla środowiska, ale jeszcze bardziej dla drobnoustrojów. Dziś, kiedy bokserki są czarne lub granatowe, dziecięce majtki mają disneyowskie nadruki, a stringi z reguły są w kolorach mrocznych jak czeluści, na których się je nosi, zastosowanie wybielacza byłoby równoznaczne ze zniszczeniem przyodziewku. Mało tego! Ponieważ bielizna jest kolorowa, to pierze się ją z innymi kolorowymi ubraniami. Bakterie kałowe mogą się zatem znaleźć na koszulach i bluzkach.

Walka o ekologię spowodowała jeszcze jedno. Niemal wyeliminowała detergenty. Detergenty zaś były biobójcze. Czyli unicestwiały wirusy, bakterie i takie tam inne paskudztwa.

W latach 90. rynek zrewolucjonizowały płyny oraz proszki z enzymami. Enzymy gwarantowały pozbycie się nawet najbardziej uporczywych plam w niższych temperaturach, dodatkowo pozwalając na zrezygnowanie z wybielacza. Redukowano więc temperaturę prania. Pranie, zamiast eliminować bakterie, zaczęło je rozprzestrzeniać. Ekologii stało się zadość.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Czterech policjantów, w tym byłego naczelnika poznańskiej drogówki, skazano prawomocnie na więzienie w zawieszeniu oraz grzywny po 10 tys. zł za składanie fałszywych zeznań, fałszywe oskarżenia i prokurowanie dowodów. Policjantom w 2019 r. pękła przednia szyba w służbowym BMW. Imając się wszystkich wymienionych niecności, starali się w tę szybę wrobić niewinnego kierowcę ciężarówki. Nie wyszło.

▮ W Zielonej Górze policja masowo badała natężenie hałasu emitowanego przez samochody. Rzekomo w odpowiedzi na zapotrzebowanie społeczne. To bardzo dziwne, bo samochody raczej nie są uciążliwe. Do tymczasowego obłędu mogą doprowadzić raczej motocykle, które z wypierdami o mocy miliona decybeli przyprawiają o szał nawet szachistę emeryta. Ale tego jakoś policja nie analizuje.

▮ Komisarz Karina Kamińska, rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego policji w Gdańsku, poinformowała, że podlegli tej jednostce policjanci drogówki przyczynili się do śmierci dwóch młodocianych kierowców. Nastolatków ścigano z takim bohaterstwem i determinacją, że ich auto owinęło się wokół drzewa. Oczywiście było trudnym do przewidzenia, że kierowca, który o północy nie zatrzymał się do kontroli drogowej z powodu niewłączonych świateł, chciał popełnić samobójstwo – można wyrozumować z treści policyjnego komunikatu.

▮ Jak wyjawiła ta sama Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsk, zatrzymano tam 29-latka podejrzanego o usiłowanie zabicia psa. Pies przeżył, ale ma złamaną nogę. Prokurator zastosował wobec niedoszłego mordercy dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju. Grożą mu trzy lata więzienia. Oskarżony tłumaczył się, że z pozycji kierowcy volkswagena transportera nie widział zwierzęcia, które wbiegło na ulicę wprost pod koła. Widział, nie widział, to ustali już niezawisły sąd w oparciu o swoje drogowe doświadczenie powożenia transporterami.

▮ Pan Andrzej – pszczelarz o bliżej niezidentyfikowanych personaliach – ma pretensje do Poczty Polskiej, ponieważ za jej pośrednictwem wysłał w kartonie rój pszczół do Warszawy. Przesyłka nadal nie doszła do adresata. Zdaniem pana Andrzeja paczka przyszła do Węzła Ekspedycyjnego Rejonu w Warszawie i wyjść z niego nie może. Należący do Poczty Polskiej Pocztex jest jedyną firmą kurierską, która świadczy usługi przesyłania żywych ptaków i owadów w paczkach.

eprasa.pl f32860a4e5

Bruksela prostuje odkurzacze

Niektóre najgłupsze przepisy unijne po jakimś czasie wcale nie są już takie głupie. Przynajmniej pozornie.

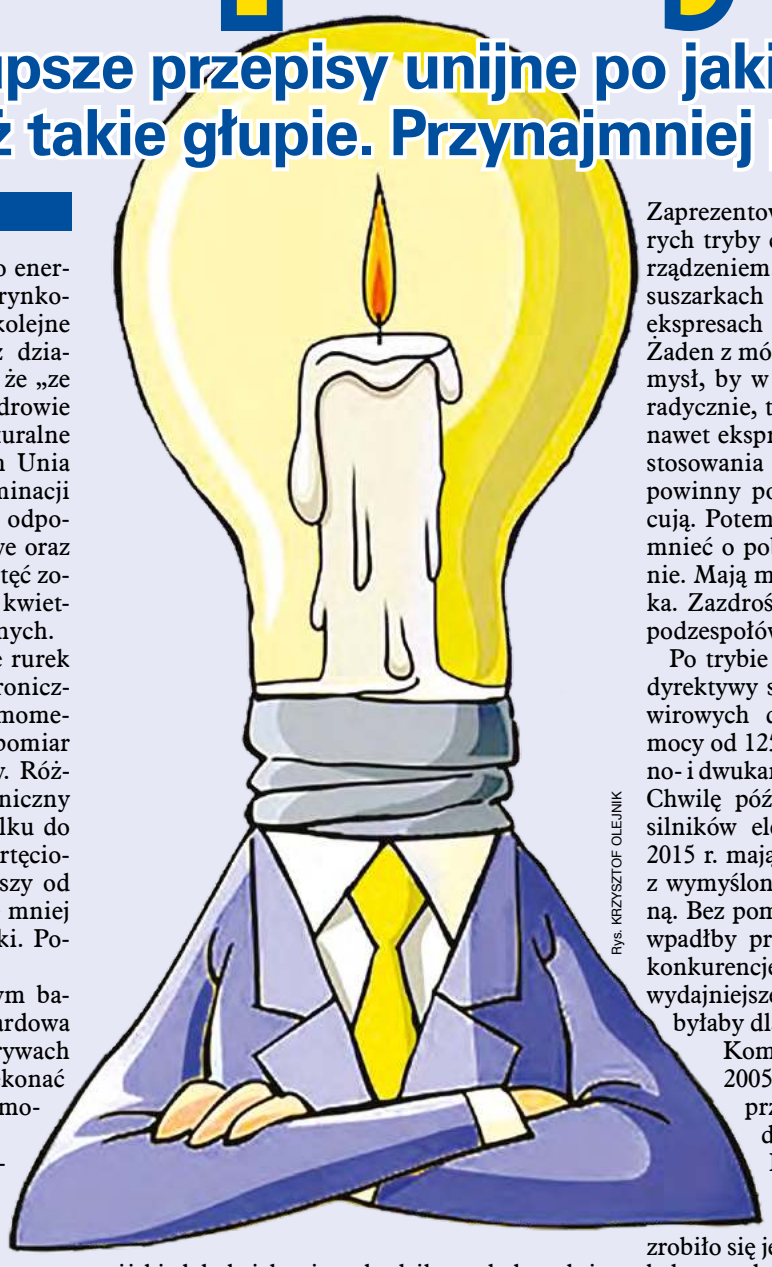

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wściekły metal

O ile jednak w przypadku oszczędnego energetycznie prania zadziałał mechanizm rynkowy, zupełnie niezależny od polityki, to kolejne sukcesy ekologii wynikały wyłącznie z działań administracyjnych. I tak ogłoszono, że „ze względu na szkodliwe działanie rtęci na zdrowie człowieka, otaczające nas środowisko naturalne oraz trudności z jej unieszkodliwieniem Unia Europejska dąży do maksymalnej eliminacji tego metalu z naszego otoczenia". Potem odpowiednia dyrektywa i termometry rtęciowe oraz inne urządzenia pomiarowe zawierające rtęć zostały wycofane z produkcji i sprzedaży 3 kwietnia 2009 r., gdyż nie spełniały norm unijnych.

Jednocześnie Unia zaleciła zastąpienie rurek z rtęcią innym termometrem, np. elektronicznym lub wskaźnikowym. Obydwa termometry są bardzo proste w obsłudze i dają pomiar o wiele szybciej niż termometr rtęciowy. Różnią się jednak ceną. Termometr elektroniczny w zależności od rodzaju może być od kilku do kilkunastu razy droższy od termometru rtęciowego. Termometr wskaźnikowy jest tańszy od termometru rtęciowego, ale niestety daje mniej dokładny pomiar. Plus minus trzy kreski. Podobno.

Rynek został zarzucony elektronicznym badziewiem, które pokazywało, że standardowa temperatura ludzkiego ciała to 35, w porywach do 36 stopni. Każdy mógł się o tym przekonać w czasie pandemii, gdy elektroniczne termometry otwierały bramki i drzwi do pracy.

W tym samym mniej więcej czasie zaczęła funkcjonować unijna dyrektywa o odchodzeniu od żarówek wolframowych na rzecz takich energooszczędnych. Oszczędność energii dla klienta była jednak iluzoryczna. Zarobiły firmy, które zamiast produkować osobno niepsującą się elektronikę sterującą rurką z luminoforem i samą rurkę, połączyły oba ustrojstwa. Skutek jest taki, że żarówki były kilkakrotnie droższe. Przy wkręcaniu ułamywały się im rurki w kształcie spiralek, a elektronika zawierająca wiele metali dość nieprzyjaznych środowisku lądowała na śmietnikach. Najciekawsze były jednak same rurki, a zwłaszcza ich zawartość, zawierająca tak niemiłą ludzkiemu organizmowi rtęć. Ale jeszcze groźniejszą niż w termometrach, bo w postaci par i proszku, a na dodatek występującą w znacznie większych ilościach. O ile bowiem na jedną rodzinę wystarczył jeden termometr, do którego z powodu trującej zawartości podchodziło się ze szczególną atencją, to żarówek było w każdym mieszkaniu kilka. Były też w biurach, sklepach i fabrykach. Czyli wszędzie. Dzięki temu producenci świetlówek mieli się dobrze. Producenci prądu zaś gorzej. Górnicy wydobywający coś, z czego robiło się rtęć, mieli się zaś doskonale, bo nigdy w historii człowieka zapotrzebowanie na ten metal nie było tak wielkie. A to, że do atmosfery, wody i ziemi dostawało się więcej rtęci niż kiedykolwiek, nie wzbudziło w ekologach jakiegoś szczególnego wzburzenia. Liczyło się to, że zapotrzebowanie na energię spadło.

Czuwająca pralka

Unijni ekolodzy odtrąbili sukces i postanowili iść tą drogą. Uchwalili dyrektywę 2009/125/WE, stanowiącą, że przedmiotem zainteresowania Brukseli będzie wszystko, co korzysta z prądu, gazu lub wody i czego sprzedaż na rynku Unii Europejskiej wynosi więcej niż 200 tys. sztuk w ciągu roku.

Zainteresowanie i dyrektywa z wolna zaczęły być przekuwane w rozporządzenia. Najpierw padło na „stend baje". Czyli takie coś, co powoduje, że nie musimy telewizora włączać z klawisza, tylko pilotem. Po polsku nazywa się to tryb czuwania. Składa się on z reguły ze światełka i minimalnej elektroniki, która ciągle żre prąd. Od tamtego roku „stend bajowi" nie wolno podżerać więcej niż 0,5 wata energii.

Oszczędności w poborze mocy, które wynikały z tego przepisu, były na tak żenująco niskim poziomie, że nie pokwapiono się ich przedstawić. Zaprezentowano natomiast urządzenia, w których tryby czuwania mają być zgodne z rozporządzeniem. Czyli np. w pralkach, zmywarkach, suszarkach do ubrań, nożach elektrycznych, ekspresach do kawy i w dziesiątkach innych. Żaden z mózgowców unijnych nie wpadł na pomysł, by w urządzeniach uruchamianych sporadycznie, takich jak pralki czy zmywarki albo nawet ekspresy do kawy, wykombinować zakaz stosowania trybu czuwania. Bo tak naprawdę powinny pobierać prąd tylko wtedy, gdy pracują. Potem mają się całkiem rozłączać i zapomnieć o pobieraniu jakiegokolwiek prądu. Ale nie. Mają mieć „stend baje" do pół wata. Kropka. Zazdrościć trzeba tylko producentom tych podzespołów.

Po trybie czuwania kolejnymi beneficjentami dyrektywy stali się niektórzy producenci pomp wirowych do wody, wentylatorów o poborze mocy od 125 W do 500 kW, klimatyzatorów jedno- i dwukanałowych oraz pomp cyrkulacyjnych. Chwilę później dołączyli do nich producenci silników elektrycznych, którzy od 1 stycznia 2015 r. mają obowiązek robić ustrojstwa zgodne z wymyśloną przez ekspertów klasą energetyczną. Bez pomocy unijnej żaden z wytwórców nie wpadłby przecież na pomysł, by przechytrzyć konkurencję i sprzedawać urządzenie znacznie wydajniejsze. A może wpadłby, tyle że cena za to byłaby dla kupujących zbyt wysoka.

Komisji Europejskiej wyszło, że w roku 2005 roczne zużycie energii elektrycznej przez suszarki bębnowe dla gospodarstw domowych wyniosło w Unii Europejskiej 21 TWh (terawatogodzin). No to dup! Rozporządzenie i cięcie. Od dnia 1 listopada 2015 r. zrobiło się jeszcze lepiej: „W przypadku suszarek bębnowych kondensacyjnych dla gospodarstw domowych współczynnik efektywności energetycznej (EEI) wynosi mniej niż 76, a w przypadku suszarek bębnowych kondensacyjnych dla gospodarstw domowych ważona wydajność skraplania nie może być mniejsza niż 70 proc."

Nie inaczej w kwestii sprawności urządzeń chłodniczych przeznaczonych dla gospodarstw domowych. W ciągu ostatniej dekady w sprzedaży zostały tylko takie, które robią lód do whisky, pobierając 20 proc. mocy mniej niż kiedyś. Technologicznie było to możliwe od dawna. Większa sprawność lodówek wiązała się bowiem z kilkoma drobiazgami technologicznymi, które wydawały się producentom zbyt kosztowne.

Rozporządzenia ekologiczne zakładają ciągły postęp w oszczędzaniu energii. Obserwatorzy rynku AGD twierdzą, że dzięki temu ceny rosły. Ale tylko na początku. Potem, gdy wszyscy musieli spełniać nowe normy, konkurencja spowodowała zejście z cen.

Z odkurzaczami jest jeszcze ciekawiej. Od września 2014 r. na terenie UE można było sprzedawać odkurzacze o maksymalnej mocy 1600 W. Od 2017 r. górny limit mocy zmniejszył się do 900 W. Jednocześnie wszystkie wypuszczane na rynek urządzenia musiały posiadać stosowne oznaczenia informujące o zużyciu energii. No i mieć żywotność 500 godzin.

A jednak się świeci

Eurosceptycy zapowiadali wtedy, że odkurzać się będzie o połowę dłużej, albo o tyleż zmniejszy się pojemność odkurzacza. Tymczasem okazało się, że producenci tak pokombinowali w zasysających brud turbinkach, że przy 900 W mocy odkurzacz ciągnie jak niegdysiejszy, żrący dwa razy tyle prądu.

Energooszczędne świetlówki z rtęcią nakazane przez Unię też są dziś wspomnieniem. Wymuszony dyrektywami postęp technologiczny zastąpił je jeszcze oszczędniejszym i nietrującym oświetleniem ledowym, którego cena, dzięki konkurencji, spadła w ostatnich latach sporo. Budzące obawy ostatnie oszczędzające energię koncepcje Brukseli powstały na podstawie danych z 2019 r. wskazujących, że około 34 mln gospodarstw domowych w Unii nie było w stanie utrzymać odpowiedniej temperatury w mieszkaniu. Dlatego zarówno w Fit for 55, jak i w Zielonym Ładzie wymyślono, żeby wszystkie budynki pouszczelniać i obić styropianem. Dzięki temu energia nie będzie uciekała i wszyscy zaoszczędzimy. Dziś wydaje się to zupełną bzdurą.

Dotychczasowe oszczędności spowodowane energooszczędnym oświetleniem i sprzętom gospodarstwa domowego odnoszą się jedynie do zapotrzebowania na energię. A ono spada i to w szybkim tempie.

Jeśli jednak komuś wydaje się, że dzięki oszczędnym żarówkom i odkurzaczom Europejczykom zostaje więcej w portfelu, to nic z tych rzeczy. Wraz z ubytkiem sprzedanego przez elektrownie prądu, wzrasta jego cena. Bo to producenci ją dyktują. I to bez względu na to, czy robią prąd z wiatru, węgla, wody czy słońca.

Gdyby więc przy okazji zajmowania się zmniejszaniem popytu na unijną energię pod niezrozumiałymi dla ludzi hasłami o zmniejszeniu emisji gazów cieplarnianych, Bruksela wzięła na celownik sektor energetyczny i producentów niepiorących proszków do prania, to byłaby szansa, żeby szary Europejczyk wreszcie odczuł skutki dyrektyw własną kieszenią. A wtedy eurosceptyczni politycy i dziennikarze wieszający psy na Komisji Europejskiej będą musieli znaleźć nowy cel ataku.

TOMASZ BOROWIECKI

Przeczytaliśmy ich regulamin. Nic nie jest tam jednak napisane, że zawartość przesyłki musi dotrzeć żywa.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

▮ Po 11 miesiącach Zakopane znowu podnosi ceny na miejskich parkingach dla przyjezdnych. Poprzednia podwyżka nie przyniosła zakładanych skutków. Turyści lgną do stolicy Tatr jak barany. Przed długim weekendem korek na zakopiance ciągnął się przez 7 km. Nowa stawka obowiązująca od 1 lipca wynosi 6 zł za pierwszą godzinę postoju.

▮ Prezydent Wałbrzycha – miasta, które wybudowało wieżę widokową na Wzgórzu Parkowym kosztem 10 mln zł – uważa, że turyści zapłacą 10 zł za „podziwianie panoramy" Wałbrzycha z wysokości ponad trzydziestu metrów. Błąd tego biznesplanu tkwi w opacznie użytym słowie: „podziwiać". W Wałbrzychu nie ma niczego do podziwiania, nawet z lotu ptaka.

▮ 71-letni mężczyzna zgłosił na komendę policji w Skierniewicach zaginięcie swojej żony. Ponieważ każda żona jest ważna, za pomocą drona i psa tropiącego rozpoczęto poszukiwania zakończone relatywnym sukcesem. 65-letnią kobietę odnaleziono martwą. Emeryt utrzymuje, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. W każdym razie nic nie pamięta, a tak w ogóle, to żona miała demencję starczą i nie odróżniała męża od kapelusza. Prokuratura przyjęła te tłumaczenie ze zrozumieniem, ale oskarżyła faceta o zabójstwo. Czy brak pamięci z premedytacją popełnionej zbrodni jest okolicznością łagodzącą – ustali sąd.

▮ Jak stwierdził gdański radny Przemysław Majewski, mieszkańcy Gdańska opłacają ciepłą wodę mieszkańcom niemieckiego miasta Lipsk. Od 20 lat. Dzieje się tak dlatego, że w 2004 r. Gdańskie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej stało się w 75 proc. własnością firmy komunalnej Stadtwerke Leipzig. Obecnie w rękach niemieckich jest 82,86 proc. udziałówspółki. W 2023 r. energetycy wypracowali 59 mln zł zysku. Do kasy Gdańska trafiło 6,7 mln zł, a do niemieckiego samorządu ponad 32 mln. Kuriozalną umowę o sprzedaży miejskiej spółki podpisał ówczesny prezydent miasta Paweł Adamowicz.

▮ Ministerstwo Finansów zapowiedziało wyodrębnienie ze struktur Krajowej Administracji Skarbowej (KAS) służby, która będzie poświęcona „sprawom niepodatkowym". Nowa służba, niemająca jeszcze nazwy, zajmować się będzie „maksymalizacją specjalizacji struktur odpowiedzialnych za poszczególne obszary leżące we właściwości KAS. Osiągnięcie stanu docelowego będzie wymagało znacznie bardziej złożonych procesów i rozwiązań" – tłumaczy Ministerstwo Finansów. Jeżeli nic z tego nie rozumiecie, to wszystko jest z wami w porządku. Przynajmniej nam się tak wydaje.

▮ Energa-Operator – dostawca prądu elektrycznego dla gospodarstw domowych i przedsiębiorstw w północnej Polsce – poinformowała, że na słupach energetycznych do niej należących zainstalowała już 13,5 tys. platform pod bocianie gniazda. Co czwarty polski bocian mieszka na słupie Energi – chwali się przedsiębiorstwo. W tej sytuacji najwyższe ceny prądu w Europie, obowiązujące w Polsce, wydają się bardziej zrozumiałe. Dla bocianów gotowi jesteśmy na takie poświęcenie.

▮ W krakowskim zoo w Lesie Wolskim budowana jest nowa małpiarnia. Makaki japońskie będą miały do dyspozycji sadzawkę z podgrzewaną wodą. Takich sadzawek nie ma nawet w Japonii. Ponieważ w Warszawie też mają małpy, a stołeczne zoo nie może być gorsze od krakowskiego, miasto rozpisało przetarg na budowę małpiarni dla warszawiaków, aby nie musieli jeździć do Krakowa na oglądanie małp krakowskich. Nowa małpiarnia ma mieć 4300 mkw., drewniane konstrukcje do wspinania dla małp oraz baseny, ale bez podgrzewanej wody.

▮ Prasa w Gorzowie Wielkopolskim straszy, że miasto plądrowane jest przez fałszywych kominiarzy, którzy wyłudzają prawdziwe pieniądze. Miejscowi redaktorzy podają sposób na odróżnienie prawdziwego kominiarza od oszusta, który się za kominiarza podaje. Prawdziwi kominiarze mogą być nerwowi, unikać kontaktu wzrokowego i niechętnie udzielać informacji. Żądają wygórowanych kwot lub pobierają zaliczki z góry oraz nie noszą charakterystycznych dla tej profesji strojów, jakie przywdziewają oszuści.

RJ

Ps. Wieści pochodzą z prasy lokalnej i sublokalnej, a nawet bardzo marginalnej. Nie muszą być prawdziwe, o czym z bezpieczeństwa prawnego informujemy.

eprasa.pl f32860a4e5

Wakacje z fajami

Nie martwcie się: nikt nie odbierze dzieciom elektroników.

Byłam świadkiem smutnego zdarzenia w osiedlowej Żabce. Oto dwóch młodzieńców w wieku środkowej podstawówki zostało wyhaltowanych przez ekspedientkę podczas próby zakupu napojów energetycznych. Pani Żabka zapytała protekcjonalnie, czy dziatwa nie słyszała o ustawie, która nakazuje wylegitymowanie się dowodem osobistym przez nabyciem oranżady z zawałogenną ilością kofeiny. Chłopcy w tym wieku ustawy mają tam, gdzie nikt długo nie będzie mógł zajrzeć pod groźbą zarzutów prokuratorskich, zatem nie słyszeli. Wyszli zrezygnowani i na te smutki strzelili sobie w płuco pod sklepem z e-fajki. Szczęście w nieszczęściu, że chociaż tej drobnej przyjemności nikt im nie odbierze, a wszystko dlatego, że mimo szumnych zapowiedzi Ministerstwa Zdrowia temat zakazu sprzedaży jednorazowych e-papierosów na wielu polach jest spalony.

Wszystko przez gówniarzy

Pod koniec lutego bieżącego roku kierowany przez ministrę Izabelę Leszczynę resort zdrowia postanowił uprzykrzyć życie palaczom i wziął na celownik jednorazowe e-papierosy. Pies z kulawą nogą nie zwróciłby uwagi na ten równie wygodny, co ekonomiczny gadżet, gdyby nie bachory. Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) co piąty sprzedawany na świecie papieros to jednorazowy e-papieros smakowy. Z Raportu Centrum Monitorowania Rynku wynika, że wartość sprzedaży jednorazówek w Polsce sięga 2 mld zł. Z kolei badania CBOS pokazują, że co czwarta osoba przed 18. rokiem życia deklaruje zamiłowanie do pociągania chmurki z e-papierosa bądź tzw. alternatywnego wobec klasycznych petów wyrobu z zawartością nikotyny. To, co mówią badania widać gołym okiem na ulicach: już ledwo odrośnięte od chodnika smrody nonszalancko paradują z przypominającymi wieczne pióra fajkami w zębach. Nic dziwnego, życie potrafi dać w kość także najmłodszym, a relaks z dymkiem to już nie siermiężne jaranie za śmietnikiem wykradzionych starym capiących wykruchów, których przedawkowanie groziło twardym rzygiem. Jedna e-fajka wystarcza średnio na 800 zaciągnięć, ale można znaleźć i takie na 5 czy 10 tys. buchów. Wygoda produktu polega na tym, że nie trzeba go uzupełniać, ładować baterii, a po zużyciu można go bez żalu wyrzucić.

Feeria smaków elektronicznych jednorazówek może popierdolić w głowie: truskawkowy shake, cappuccino, jagoda, wiśnia, cytrynowa lemoniada – to tylko kilka pierwszych z brzegu propozycji. W 2018 r. w obrocie było 18 smaków jednorazówek, w 2022 – już 2283. Co istotne, jednorazowy e-papieros jest niewiele droższy niż wszystkie produkty, od których zaczerpnięto pomysły na jego smaki. Wypełniony nikotynowym liquidem ćmik kosztuje w okolicach trzech dych. Litrem jagód czy kilogramem truskawek ciężko zrobić furorę wśród młodocianych rówieśników, pociągnięciem bucha z wymyślnie zaprojektowanego papierosa elektronicznego już tak – bo trzeba przyznać, że opakowania nie tylko cieszą oczy, ale mogą być ciekawym uzupełnieniem stylówki. Nałóg nikotynowy jeszcze nigdy nie był tak smaczny, elegancki i łatwo dostępny. Urocze papieroski, które kojarzą się bardziej z wizytą w cukierni niż drobnokomórkowym rakiem płuca, dostępne są niemalże w każdym sklepie, w automatach czy internecie. Często gówno kogo obchodzi wiek nabywcy. System ochrony małoletnich przed nikotyną dzięki e-papierosom poszedł z dymem.

Ustawa w chmurze

Ministerstwo Zdrowia dostało kurwicy i zapowiedziało ukrócenie procederu przez definitywny zakaz sprzedaży jednorazówek jeszcze przed wakacjami, aby uchronić jak najwięcej kaszojadów przed zabijaniem letniej nudy dobijaniem płuc. Otóż chuj z tego.

Jak większość kolorowych, tanich i najczęściej gównianych produktów, e-papierosy pochodzą z Chin. Paradoksalnie to, co idzie u nas lepiej i szybciej niż świeże buły, z chińskiego rynku zostało wycofane 1 października 2022 r. Chińczycy widocznie wiedzą, co robią, bo w przeciwieństwie do polskich odbiorców znają nie tylko skład słodkiego gównidła, ale możliwe, że również efekty podgrzania tej chemicznej bomby. Według raportu Instytutu Prognoz i Analiz Gospodarczych dostępne w sprzedaży produkty nagminnie łamią przepisy polskiego prawa. Lista przewin jest długa jak stąd do Moskwy: dopuszczalna pojemność płynu z nikotyną wynosi 2 ml, a większość sprzedawanych produktów posiada 20 ml; dopuszczalne stężenie nikotyny w liquidzie wynosi 20 mg/ml, natomiast oferowane przez producentów płyny mogą poszczycić się 50mg/ml.

Dodatkowo w Polsce producenci jedynie notyfikują odpowiedniemu urzędowi skład jednorazówek, w praktyce nikt systemowo nie bada płynów do e-papierosów. Jeśli ktoś jakimś cudem zgłosi jakiekolwiek zastrzeżenia co do produktu, producenci wycofują e-fajka z rynku, przeprowadzają kosmetyczne zmiany i na abarot wprowadzają do sprzedaży. Podczas lutowego spotkania Parlamentarnego Zespołu ds. Przeciwdziałania Uzależnieniom współautor wspomnianego raportu na temat rynku e-papierosów mówił, że ponad 60 proc. tego rynku znajduje się poza wszelką kontrolą. To nie jest zabawa w kotka i myszkę, mysz już dawno wpierdoliła sierściucha i oblizała wąsy. Państwo w zderzeniu ze zjawiskiem jest niewydolne jak zaraczone płuco.

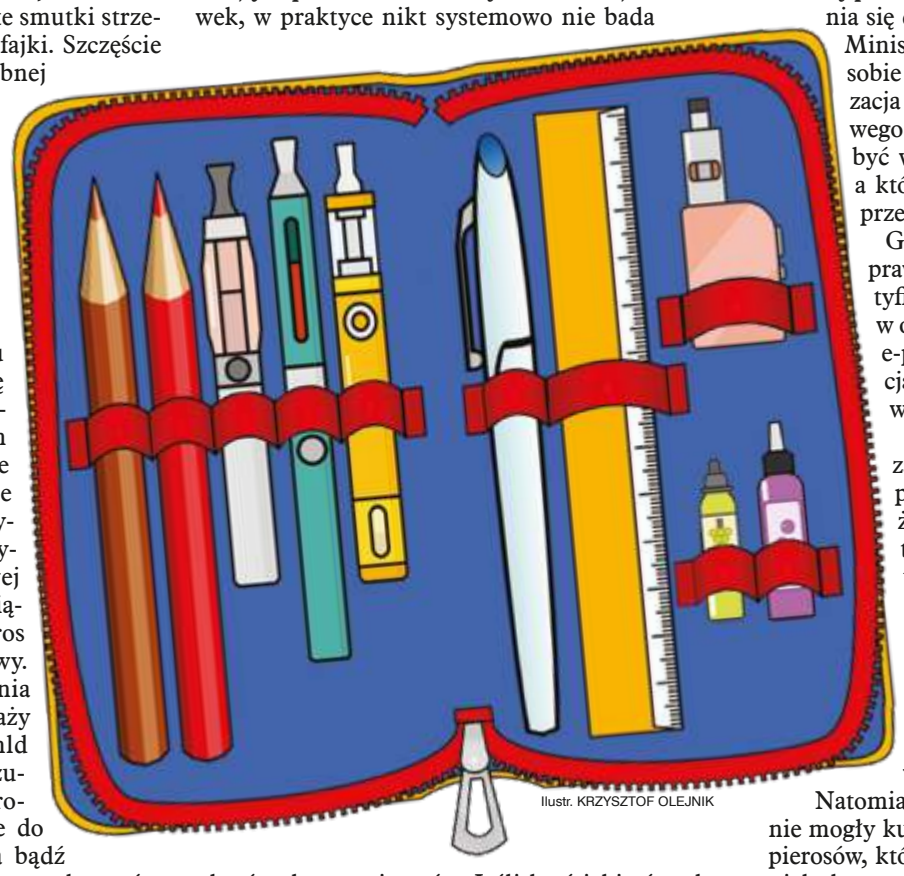

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W połowie maja resort zdrowia opublikował długo oczekiwany projekt ustawy, który miał zapanować nad e-fajczanym burdelem. Dowcip w tym, że coś się Ministerstwu Zdrowia zaczadziło i spłodzono zakaz sprzedaży mentolowych wkładów tytoniowych do podgrzewania. Gwoli wyjaśnienia, takie wkłady to coś zupełnie innego niż elektroniczne jednorazówki. Wkład wygląda jak nieco krótszy klasyczny papieros – składa się z filtra i tutki z tytoniem. Instaluje się go w podgrzewaczu i wciąga dym. W projekcie nawet słowem nie zająknięto się o e-papierosach z nikotyną w płynie.

Zasłona dymna

Dlaczego? Ano dlatego, że zakaz sprzedaży e-ćmików wymaga notyfikacji w Unii Europejskiej i aby do niej doszło potrzeba przynajmniej półrocznego okresu karencji. Na domiar złego, wprowadzenie w życie nowego prawa także wymaga czasu, żeby rynek zdążył się przygotować – jeśli tak się nie stanie, nikotynowi giganci będą mieli solidne argumenty, żeby żądać od Polski koszmarnych odszkodowań za zmianę prawodawstwa bez możliwości dostosowania się do nowych przepisów. Zasłona dymna Ministerstwa Zdrowia, które udaje, że radzi sobie z problemem, to nic innego jak realizacja unijnej dyrektywy o zakazie mentolowego tytoniu do podgrzewaczy, który miał być wdrożony do 23 października 2023 r., a który przed wyborami parlamentarnymi przesunięto, żeby nie wkurwić palaczy.

Gdyby Polska chciała zgodnie z literą prawa zakazać jednorazówek, unijna notyfikacja miałaby szansę wejść w życie w okolicach 2026 r. Bajki o unicestwieniu e-papierosowego problemu przed wakacjami były spalone już na etapie zapowiedzi.

Ministra Izabela Leszczyna 31 maja zapowiedziała po raz wtóry, że powstał projekt ustawy zakazującej sprzedaży jednorazowych papierosów elektronicznych. Pytana, czy projekt uwzględnia zarówno e-papierosy, jak i podgrzewacze, zmieniła melodię i zwróciła uwagę na europejską dyrektywę tytoniową. „Ona reguluje to wszystko, co zawiera nikotynę. Dzieci i młodzież nie mogą kupować takich e-papierosów, obojętnie czy jednorazowych, czy nie, w których jest nikotyna. Natomiast zależy mi najbardziej na tym, żeby nie mogły kupować także tych elektronicznych papierosów, które nie zawierają nikotyny, więc są dla nich dostępne, ale zgodnie z tym co mówią prawie wszyscy eksperci, są po prostu szkodliwe" – orzekła. Szefowa resortu zdrowia powiedziała, że wystosowała pisma do Państwowej Inspekcji Handlowej i Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, z prośbą o wsparcie działań MZ. Na szczęście to te same instytucje, które nie radzą sobie z nikotynowymi artefaktami, więc dziatwa może być spokojna o możliwość niczym nieskrępowanego jarania, zarówno jednych, jak i drugich e-papierosów. Dopóki w płucach starczy sił.

IDALIA DUBICKA

Jak wiadomo z nagrań Tomasza Mraza, kluczową kwestią dla wielu osób stało się to, jak należy zachować się, gdy o godzinie szóstej rano u drzwi staną nieproszeni goście z bronią.

Jak zwykle najważniejsza jest profilaktyka. Prokuratorzy trenowani przez całe lata przez Ziobrę nie mają najmniejszego problemu z wystawianiem zgód na zatrzymanie i przeszukanie. Na domiar złego (z punktu widzenia Zjednoczonej Prawicy), nowa koalicja w takich praktykach nie widzi nic zdrożnego.

Na azyl lub immunitet

Dlatego przeciwdziałanie porannym odwiedzinom wymaga nieco zachodu. Albo – jak w przypadku Tomasza Szmydta – Wschodu. Kluczową kwestią jest bowiem zachowanie pełnej mobilności. Tę zaś uzyskuje się, korzystając z zasady PSW: przepisać, sprzedać, wytransferować. Dzięki niej nie ma się niczego, co ktoś mógłby nam odebrać. No – może poza wolnością. Dlatego po pozbyciu się w Polsce wszystkiego, należy w odpowiednim momencie przeflancować się niczym sędzia Szmydt do kraju, z którego nikt nas w najbliższym czasie nie odeśle do Rzeczypospolitej.

Doskonałą metodą na pozbycie się na jakiś czas nieproszonych gości jest immunitet – najlepiej parlamentarny. Zanim sejm czy Parlament Europejski go uchyli, ma się czas na zniknięcie lub choć uratowanie większości tego, co się przytuliło w dobrych (politycznie) czasach.

Klasycznym przykładem połączenia wspomnianych dotychczas metod unikania zatrzymania jest Daniel Obajtek. Jak donoszą źródła, facet pomieszkuje na orbanowskich Węgrzech, co jakiś czas przemieszczając się – dzięki bezgranicznej strefie Schengen – przez Słowację na Podkarpacie, celem uskuteczniania kampanii wyborczej do dającego immunitet PE. Przezornie, tak mniej więcej od połowy października, były prezes Orlenu wyzbywał się swojej własności, przepisując co się da, choćby na syna.

Na brodatego koronnego

Co jednak mają zrobić osoby, które o immunitecie ani azylu u Viktora Orbana marzyć nie mogą, u koryta nachapały się zbyt mało, by to spieniężyć i prysnąć do ciepłych krajów, a na dodatek nie znają rosyjskiego?

Takie osoby otóż powinny zapuścić brodę, ufryzować wąsy à la Salvador Dalí i udać się do Romana Giertycha. On już będzie wiedział, jak je pokie-

Antykoncepcja karno-demograficzna

Po co mieć dziecko, skoro idzie się za to do więzienia?

Mężczyzna i kobieta, których komórki rozrodcze się połączyły, stają się dla organów państwa zwierzyną łowną. Początkowo na celowniku jest tylko dawca spermy. Jeśli wydaje mu się, że wolność słowa gwarantuje mu mówienie wszystkiego, co ślina przyniesie na język, to się myli.

Mimo milionów obietnic Koalicji Miłości, gdyby chciał namówić zapłodnioną pannę do aborcji prośbą lub groźbą, czy nawet obietnicą ożenku i poślubnego wyjazdu na Malediwy, to winien zawczasu przyszykować szczoteczkę do zębów i komplet bielizny. Jeśli dziewczę powtórzy to prokuratorowi, ten zareaguje oskarżeniem o próbę „doprowadzenia ciężarnej do przerwania ciąży". A za coś takiego kodeks nieustająco przewiduje parę lat odsiadki.

Nie każdy ma tyle szczęścia, co pan Robert. Sąd Apelacyjny we Wrocławiu uznał go co prawda za winnego namawiania partnerki do usunięcia ciąży, ale postępowanie warunkowo umorzył, gdyż mimo przesłania przez niego kasy na zabieg, ostatecznie do skrobanki nie doszło. „Inaczej to przestępstwo byłoby oceniane, gdyby wywołało rzeczywisty skutek" – uzasadniał prawomocny wyrok sędzia.

Co wolno ciężarnej, to...

Dziewczynie w ciąży wolno wszystko. Sezon ochronny gwarantuje jej art. 157 a kodeksu karnego, który mówi: „kto powoduje uszkodzenie ciała dziecka poczętego lub rozstrój zdrowia zagrażający jego życiu podlega karze pozbawienia wolności do lat 2", ale zaraz dodaje też, że „nie podlega karze matka dziecka poczętego".

Ciężarna może zatem łykać, co jej się podoba, robić irygacje z Domestosa, albo skakać z pierwszego piętra na wyprostowane nogi. Może też pić na umór i ćpać, ile wlezie. Prokurator może jej nagwizdać.

Nosicielka potomstwa ma jednak pamiętać, żeby nie przegiąć. Przegięciem jest zaś poród. Jeśli nastąpi, gdy ciężarna jest najebana albo na haju, to ma niefajnie.

W kodeksie karnym jest bowiem artykuł 160: „kto naraża człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu" – trzy lata. Mało tego: ciężarna po porodzie to matka, a na matce „ciąży obowiązek opieki nad osobą narażoną na niebezpieczeństwo". Czyli łapie się już nie na trzy, ale na pięć lat więzienia.

Najczęściej donosicielami do organów są lekarze i pielęgniarki. Jeśli poczują u rodzącej procenty, dzwonią na policję. Ta przyjeżdża i jak niemowlak jest już na wierzchu, to zamiast z gratulacjami, wyskakuje z zarzutem.

Tak też było w marcu w szpitalu ginekologiczno-położniczym Medikor w Nowym Sączu, gdzie na świat przyszedł pijany noworodek. Miał 1,09 promila. Matką, oprócz personelu medycznego, od razu zainteresował się prokurator.

Dzieciak 41-latki, która w styczniu rodziła w Żurominie, miał nawet większe stężenie alkoholu niż rodzicielka. U niej stwierdzono ledwie 2 promile, u progenitury zaś – 2,8. Takich porodów na alkoholowym znieczuleniu rocznie w Polsce jest co najmniej kilkanaście.

Na narkotykowej anestezji zresztą też. W Elblągu pracownicy szpitala powiadomili policję o nietypowym zachowaniu 29-letniej kobiety podczas porodu. Policja wykryła narkotyki w organizmie matki i jej nowo narodzonego syna. Przy każdym z takich zdarzeń padają te same słowa o narażeniu na bezpośrednie niebezpieczeństwo i możliwości pięcioletniej od-

eprasa.pl f32860a4e5

Zbudzeni o świcie

Krótki poradnik dla beneficjentów dobrej zmiany.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Znany kardiolog na ucho powiedział, że niedawno pewien wiceminister konsultował się z nim w sprawie samoistnego sprowokowania objawów a la Giertych. Koledzy kardiologa też spotkali się z takimi pytaniami.

rować dalej. Także osoby płci żeńskiej – które brody i wąsów siłą rzeczy nie zapuszczą – będą dobrze przyjęte, jeśli wniosą wiano w postaci kilkudziesięciu godzin nagrań rozmów z przełożonymi. Czasem wystarczy sama gotowość zeznań; mecenas Giertych na pewno znajdzie jakiś sposób, by nikt ich o świcie nie wyprowadzał z domu w kajdankach.

Wyobraźmy sobie jednak, że jakiś wysoko umoczony urzędas pisowski nie chce kapować i nakradł za mało, żeby wyemigrować. Takiemu komuś zostało tylko unikanie zatrzymania i liczenie, że uda się ukrywać do chwili, gdy PiS znowu dojdzie do władzy. Tyle że to trudne jest. Nie wolno mieć komórki na swoje nazwisko. Nie można korzystać z dotychczasowych kont w internecie, ani w żaden sposób kontaktować się elektronicznie z rodziną i znajomymi. Niemożliwe? Ależ skąd! Nie po to rządy Zjednoczonej Prawicy transferowały Kościołowi setki milionów złotych rocznie, żeby z tego nic nie mieć. Kościelny rewanż polegający na wikcie i opierunku w jakimś zacisznym klasztorze nie jest chyba wygórowanym za to zadośćuczynieniem?

Na sąsiada

Na całkiem krótką metę, przed poranną wizytą bronić się można modlitwą. W niej zaś trzeba wybłagać, by służby mające zapukać do naszych drzwi pomyliły mieszkania lub domy.

Modły takie mają sens o tyle, że przy władzy jest ta sama partia, co dekadę temu. To zaś może sugerować, że służby będą robiły to co za czasów koalicji PO–PSL – znaczy wyważały drzwi Bogu ducha winnych osób. Potem domowników rzucały o glebę. A jak ktoś będzie próbował mówić, że to pomyłka, to przykładały z buta. I nie przeszkodzi im płacz dzieci, czy to, że kopią kobietę.

Sztandarowym przykładem takiego czegoś była akcja z 2012 r. na jednym z zamkniętych osiedli w Katowicach. Gliniarze dostali adres i rozkaz zatrzymania. Na miejscu o pomoc poprosili ciecia, który na podstawie zdjęcia stwierdził, że wie, gdzie poszukiwany mieszka. Tyle że dowodzący akcją oficer pomylił piętra i wskazał funkcjonariuszom mieszkanie zajmowane przez lekarza kardiologa oraz jego dziewczynę. Na widok antyterrorystów lekarz próbował zamknąć drzwi, więc policjanci wrzucili do środka granaty hukowe i weszli na siłę. Lekarz został obezwładniony, użyto wobec niego paralizatora, dziewczynie podczas interwencji ułamano ząb. Zupełnym przypadkiem facet, po którego szli gliniarze, wyjrzał ze swojego mieszkania, dzięki czemu został rozpoznany i aresztowany.

Gdyby kogoś interesowało, czy za bezprawne wtargnięcie i pobicie ludzi ktoś odpowiedział, to otóż nie. Co prawda prokuratura oskarżyła czterech uczestniczących w akcji funkcjonariuszy o przekroczenie uprawnień oraz pobicie, ale po kilku instancjach i niemal 10 latach, sąd pomylonych gliniarzy prawomocnie uniewinnił, czym przyznał, że gliniarzom wolno wszystko, bo gdzie drwa rąbią, tam zdarzają się i niezawinione pomyłki.

Na numerek

Co ciekawe, takich pomyłek, które były plagą policji za Tuska, w ciągu ośmiu lat rządów PiS nie było prawie wcale lub sprawie utrącano łeb wysokimi odszkodowaniami.

Ostatnia tego typu głośna sprawa pochodzi z 2018 r. z Jarosławia. „Około szóstej rano obudziło nas ostre walenie w drzwi. Ojciec, który choruje na przepuklinę kręgosłupa, poszedł otworzyć, gdy nagle mężczyźni powalili go na deski na korytarzu i poobijali plecy. Potem rzucili się na mnie, uderzyłem twarzą o podłogę, poczułem ból w barku, skuli mnie, krzyczeli, mieli broń. 11-letnia siostra zaczęła płakać, z pokoju wyszedł 14-letni brat. Pytaliśmy o co chodzi?” – mówił mediom poszkodowany 18-latek. Gdy domownicy leżeli na podłodze, któryś z mundurowych wyciągnął zdjęcie gościa, którego szukali. Okazało się, że to żadne z leżących.

Od tej pory, mimo wszystkich możliwych wpadek policji i służb, media o podobnej pomyłce już nie napisały, zaś wewnętrzne dokumenty w takich sprawach są tajne i łamane przez poufne. Ale są na pewno. Dlatego jeśli ktoś obawia się wizyty o szóstej rano, to najlepiej gdyby na domu lub drzwiach mieszkania nie miał numeru. A jeszcze lepiej, gdyby taki numer przykleić sąsiadowi. W numerycznym zamieszaniu beneficjent władzy PiS dostanie kilka cennych chwil na ucieczkę.

Na Giertycha

Tego czasu nie miał w 2020 r. Roman Giertych. Mecenasa zatrzymano nie o świcie, ale gdy wychodził z warszawskiego sądu, a w samochodzie skuto kajdankami. Potem zaczęły się przeszukania w jego domu i w kancelarii. W trakcie kipiszu w mieszkaniu Giertych zasłabł i został przewieziony karetką do szpitala. Przez kilka godzin był w stanie „poważnym”, a na dodatek nieprzytomnym. Co nie przeszkodziło prokuratorowi w postawieniu mu zarzutów. Z adwokatami jednak nie ma żartów, i w ciągu paru miesięcy spędzonych w domowych pieleszach, Giertych kolejno rozwalał ustalenia prokuratury, by w końcu rozetrzeć w pył sensowność zatrzymania i przeszukiwania jego chałupy. Dlatego Roman Giertych może być wzorem do zachowania się w sytuacji zatrzymania.

Metoda na Giertycha jest więc na topie, bo daje dużą szansę, że zatrzymany delikwent nie wyląduje na kilka miesięcy tam, gdzie Kamiński z Wąsikiem spędzili ledwie kilkanaście dni.

Na Blidę

Na samym końcu katalogu dobrych rad, adwokaci mają jeszcze casus Barbary Blidy.

25 kwietnia 2007 r. – za pierwszego Ziobry – o godzinie szóstej rano pod dom byłej minister budownictwa podjechały samochody Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Funkcjonariusze wkroczyli do środka, by kobietę zatrzymać i przeszukać jej dom. Na zewnątrz czatowały kamery czekające, aby pokazać światu, jak wyprowadzają w kajdankach byłą posłankę SLD. W trakcie kipiszu Blida poprosiła o umożliwienie jej skorzystania z toalety. Weszła z nią tam funkcjonariuszka ABW. Nie przeszkodziło to zatrzymanej wyjąć z szafki rewolwer Astra 680 i postrzelić się śmiertelnie w klatkę piersiową.

Materiał, który służby miały na Blidę, był do rozwalenia w sądzie. Dlaczego zatem Blida się zastrzeliła? Najmocniejsze argumenty ma teza, że kobieta nie chciała dać zrobić z siebie widowiska. A że miała jaja…

Prawnicy odradzają osobom spodziewającym się zatrzymania popełnianie samobójstwa. I ponoć nie chodzi o to, że martwy klient adwokatowi nie zapłaci… Są jednak sytuacje, w których mecenasi nie wykluczaliby takiego rozwiązania. Daje ono bowiem to, że wraz ze śmiercią osoby podejrzewanej o cokolwiek, postępowanie się umarza. Wszystko, co taki ktoś pozyskał wyłudzeniem, łapówkami, czy kradzieżą, staje się de facto nienaruszalne i rodzina zmarłego może tym dysponować do woli.

Hipotetycznie więc, jeśli ktoś ma raka z takimi przerzutami, że najdalej za parę miesięcy już go nie będzie, to palnięcie sobie w łeb jest wyjściem równie honorowym, jak i ekonomicznie uzasadnionym.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

siadki. Sądy jednak z rzadka przywalają karę bezwzględną. Regułą są zawiasy, przyznanie się do winy i dobrowolne poddanie karze.

Prawnicy mówią, że tak na dobrą sprawę, wygrana prokuratury wcale nie jest taka jasna. W końcu ciężarna zalewała się lub ćpała, gdy zgodnie z prawem było jej wolno. Od momentu urodzenia, gdy spłynął na nią obowiązek opieki, nie piła, ani nic nie brała. Obrońcy korzystają więc z tego, że prokuratura, atakując położnicę działa nieetycznie, wykorzystując szok spowodowany porodem.

Rodzic na celowniku

Prawdziwe polowanie z nagonką na rodziców zaczyna się zaraz po wyjściu ze szpitala. Wszystko, co zrobi ojciec lub matka, albo nawet czego nie zrobią, może być użyte przeciwko nim. Ale tym razem wykpienie się z zapisów art. 160 jest praktycznie niemożliwe.

Nie można na przykład popychać pod wpływem wózka z dzieckiem. W Kutnie 27-letnia kobieta i 38-letni mężczyzna zabrali swoją dwuletnią córkę na spacer, ale nie spodobali się policjantom, którzy wracali po służbie do domu. Badanie stanu trzeźwości matki wykazało ponad 2 promile alkoholu, natomiast tatusia – 3 promile. Rodzice trafili na dołek, dziecko do szpitala. To, że nic mu nie było, nie zmieniło zarzutu grożącego pięcioletnią odsiadką.

Opiekowanie się dziećmi w domu też może być niezgodne z prawem. Tak przynajmniej uznała policja z Zawiercia, która po stwierdzeniu, że opiekująca się 12-dniowym dzieciakiem para była pijana, najpierw przebadała rodziców alkomatem. I jak wyszło im, że 26-latka ma we krwi promil, a jej 32-letni partner dwakroć tyle, to wysłała dzieciaka do szpitala, a rodzicom postawiła zarzut z art. 160.

Wygląda zatem na to, że choć w żadnym paragrafie nie ma nic o konieczności rodzicielskiej abstynencji, to przepis taki działa. I nie ma znaczenia, ile było pite. W kodeksie drogowym przynajmniej wiadomo, co i jak. Za więcej niż 0,2 promila zabierają prawo jazdy, powyżej 0,5 mogą zapakować do więzienia. Rodzic natomiast ma być bezwzględnie trzeźwy. Bezwzględnie? Wcale nie.

Wykroczenie alogiczne

Ponieważ nie ma jasnych przepisów, to wszystko zależy od widzimisię policji. Zwłaszcza że obok art. 160 kodeksu karnego, jest też zapis kodeksu wykroczeń. W art. 106 kw. stoi, że „kto, mając obowiązek opieki lub nadzoru nad osobą małoletnią do lat 7 dopuszcza do jej przebywania w okolicznościach niebezpiecznych dla zdrowia człowieka, podlega karze grzywny albo karze nagany”.

Przepis jest naturalnie rozciągliwy jak guma z majtek. Niebezpieczne dla zdrowia jest przebywanie w zasmogowanym centrum każdego dużego miasta. Niebezpieczne jest przechodzenie przez jezdnię. Wychodzenie z domu w upał i wychodzenie w mróz. Korzystanie z wanny i kuchenki gazowej. A nawet suszarki. Niebezpieczne może też być narażenie na niebezpieczeństwo.

W Elblągu nad wodą policjanci natknęli się na 61-letniego mężczyznę, który opiekował się trzyletnim synem. Tatuś miał 1,7 promila alkoholu w organizmie. Jeśli ktoś sądzi, że zaraz padnie artykuł z kodeksu karnego, to tym razem się myli. Panu groziła grzywna lub nagana, bo stróże prawa zakwalifikowali zdarzenie jako wykroczenie.

W Słupsku sąsiedzi powiadomili policję, że po wewnętrznym parapecie mieszkania chodzi dziecko. Przyjechała policja, przebadała rodziców i wyszło im, że facet ma 3 promile, a mamusia o połowę mniej. Narąbanym opiekunom się upiekło. Zamiast kary długoletniego więzienia, dostali po 100 zł mandatu. Dla tych policjantów nietrzeźwość domowa była tylko wykroczeniem.

Kilka lat temu w Dobrzeniu Wielkim mamusia ze swoimi synami, siedmioletnim i rocznym, odwiedziła sąsiadkę. Panie piły kawę. Chłopcy bawili się w ogrodzie. Po kilku minutach młodszego gdzieś wcięło. Okazało się, że utopił się w ogrodowej wannie. Mimo że pani była trzeźwa, prokuratura oskarżyła ją o narażenie życia dziecka i nieumyślne spowodowanie jego śmierci. Sąd wymierzył jej karę roku w zawieszeniu na dwa lata.

Pamiętna jest sprawa z Lipna, gdy kobiecie, która poszła na zakupy z trójką dzieci, a czwarte przywiązała paskiem do framugi, postawiono zarzut grożący 5 latami pudła. W tym samym czasie matka ze Słupska, która też poszła na zakupy, zostawiając w domu trzylatka, zapłaciła za to wykroczenie mandat.

Zachlany pedofil

Najbardziej ryzykowne jest połączenie posiadania dziecka i smartfonu. Uwiecznianie przewijania czy kąpieli niemowlaka to dla prokuratury nic innego jak „utrwalanie treści pornograficznych z udziałem małoletniego poniżej lat 15”. Nie jakieś tam fotki naguska na owczej skórze, ale prawdziwe pedo-porno. Przygodę z prokuraturą zaliczyli dzięki takiemu wpuszczonemu do sieci filmowi państwo z Katowic. Na szczęście do sądu sprawa nie dotarła, bo powołany przez prokuratora biegły znamion pornografii nie dostrzegł. Upiekło się też facetowi w Sopocie, który filmował na plaży swojego naguska bawiącego się z innymi małymi naguskami. Purytanie z kocyków obok wezwali policję, a ta postawiła ojcu zarzut z sankcją w postaci 10 lat odsiadki. Pana znowu wybronił biegły.

Gębę pedofilki dorobiono artystce, która przyszła odebrać odbitki zdjęć na wystawę. Pracownicy warszawskiego laboratorium wezwali policję i uniemożliwili podłej pedofilce ucieczkę. Foty dwójki dzieci w wieku sześciu lat i jednego trzytygodniowego niemowlęcia przeleżały się w prokuraturze dwa tygodnie i zostały zwrócone z opinią biegłego, że z pornografią dziecięcą musiałby je pomylić tylko idiota.

Jak się jest rodzicem, to trzeba mieć sejf i w tym sejfie trzymać alkohol.

Gorzała mrożąca się w lodówce czy flaszka wina na półce to przecież nic innego jak „rozpijanie małoletniego poprzez dostarczanie mu napoju alkoholowego lub ułatwianie jego spożycia”.

Za coś takiego też dostaje się dwa lata. A jak ktoś ma pecha, jak tatuś z Pułtuska, to i więcej. Tatuś miał 3 promile, ale funkcjonował. Jego pięcioletni syn był zaś nieprzytomny. I wcale nie dlatego, że rodzic mu polewał. Sam znalazł w lodówce gorzałę i pociągnął kilka razy z gwinta. Potem poszedł pochwalić się tym babci. Tuż po tej deklaracji padł. Gdyby tatuś zamiast pić majsterkował, to z całą pewnością małolat wódki by nie znalazł. A rodzic nie miałby zarzutów za rozpijanie i – rzecz jasna – narażenie na niebezpieczeństwo, wycenianych przez prokuratora na pięć lat.

Z bycia rodzicem i związanej z tym odpowiedzialności karnej można wybrnąć na trzy sposoby: zastosować wariant „matki małej Madzi” i resztę życia spędzić w więzieniu; zostawić podrzutka w centrum handlowym, czy innym oknie życia – narażając się na trzy lata odsiadki; być złym rodzicem. To ostatnie wyjście jest najsensowniejsze. Rodzic nie idzie siedzieć, a państwo robi mu dobrze, pozbawiając problemu przez odebranie latorośli i praw rodzicielskich do niej. A że tym samym państwo to udowadnia, że zasługuje na zupełny brak obywateli?

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl f32860a4e5

Za co kocham Stormy Daniels.

Feministka z pornola

Gwiazda porno Stormy Daniels wydaje się dość nietypową bohaterką ruchu feministycznego. Jej konfrontacja z Donaldem Trumpem przyniosła jej jednak wsparcie z różnych zaskakujących kierunków.

Wzór dla córek

Kiedy niedługo po wybuchu afery Stormy objeżdżała amerykańskie kluby go-go z gwiazdorską trasą „Make America Horny Again" – „Uczyńmy Amerykę znowu napaloną", co było trawestacją hasła wyborczego Trumpa o przywróceniu Ameryce „wielkości" – na jej występy masowo przychodziły kobiety, które chciały okazać wsparcie, wtykając jej banknoty w majtki. Z drugiej strony, poważne feministyczne publicystki w poważnych tytułach prezentowały aktorkę – która była także reżyserką, scenarzystką i producentką filmów porno, czyli czerpała korzyści z „uprzedmiotawiania" innych kobiet – jako wcielenie feministycznych ideałów.

„Pod wieloma względami jest dokładnie tym, o co walczy feminizm: samodzielną kobietą w pełni kontrolującą swoje wybory, wyzwoloną seksualnie, wolną i wystarczająco pewną siebie, by robić to, co chce ze swoim ciałem, karierą, życiem i opiniami" – pisała w „Politico" Lauren Leader, szefowa „All In Together", organizacji zajmującej się edukacją obywatelską kobiet.

„Jest inteligentna, twarda, zręczna i niezwykle pewna siebie – do czego wiele z nas dąży, ale nie zawsze to osiąga. Niecodziennie proponuję aktorkę filmów dla dorosłych jako wzór do naśladowania dla moich córek, ale czemu nie?" – dodawała Vivia Chen, publicystka „Bloomberg Law", prawnego serwisu Bloomebrga. „Dlaczego więcej kobiet, w tym ja, nie poparło Stormy Daniels wcześniej? Powinnyśmy były to zrobić" – zapytywała autorka książki „Gdyby tylko nas słuchali: Czego wyborczynie chcą od polityków?" i laureatka Pulitzera Melinda Henneberger, odpowiadając sama sobie, że chodziło o „uprzedzenie klasowe" i „świętoszkowatą hipokryzję" wymierzoną w pracownice seksbiznesu.

I wiecie, co? Ja się z nimi zgadzam. Stormy Daniels jest zajebista.

Piorun i Błyskawica

Jej autobiograficzna książka „Full disclosure", co można przetłumaczyć jako „Pełne ujawnienie", opowiada nie tylko o jej szeroko pojętych stosunkach z Trumpem i przyczynach, dla których przyjęła od niego 130 tys. dolarów za milczenie, a później jednak nie milczała. Opowiada całe jej życie w sposób barwny i bluźnierczy – i naprawdę nie idzie jej nie polubić.

Stormy – jeszcze jako Stephanie Gregory – wychowywała się w biednym, rozbitym domu, lokującym się cokolwiek na marginesie społecznym; w wieku dziewięciu lat była molestowana przez zboczeńca z sąsiedztwa, czym nie przejęła się ani jej matka, ani jej szkoła. Choć uczyła się bardzo dobrze, nie stać jej było na studia. Zaczęła zarabiać na striptizie w wieku lat 17 i szybko odkryła, że to zajęcie znacznie bardziej dochodowe niż jej wcześniejsza praca w stajni. Cała jej opowieść o życiowych wyborach pokazuje kobietę zdeterminowaną, pewną tego, dokąd zmierza i nieskłonną do ulegania emocjom.

Oczarowała mnie historia o tym, jak stała się posiadaczką potężnego cyca, który jest jej znakiem firmowym. Otóż kiedy pracowała w klubie ze striptizem w Baton Rouge zauważyła, że dziewczyny z większym biustem dostają większe napiwki, toteż postanowiła wstawić sobie implanty. Podeszła do zagadnienia systemowo. Obejrzała cycki wszystkich koleżanek, zdecydowała, że najbardziej podobają jej się te wykonane przez dr Charlesa Gruenwalda i poszła do niego z zamówieniem na 80D. Kiedy opuchlizna zeszła, okazało się, że ma biust o trzy numery większy niż obstalowany. Wpadła do gabinetu lekarza z awanturą, a ten jej oznajmił, że wszystkie pacjentki, które zaczynają od D, wcześniej czy później wracają po DDD, więc oszczędził jej kłopotu i wydatków, a sobie roboty. „To przekonało mnie, żeby go nie pozywać. Pomogło też to, że od razu zaczęłam dostawać znacznie większe napiwki" – opowiada pogodnie Stormy, dodając z dumą, że nadała swoim cyckom imiona – „bo tak bardzo je kocham". Imiona brzmią: Piorun i Błyskawica. „Najlepiej wydane 2200 dolków w moim życiu. Mam te same implanty od 1999 roku. Są już nieomal pełnoletnie i mogą pić alkohol" – dodaje w swojej wydanej w 2018 r. książce.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Yeti z muchomorem

Stormy przekonuje – i ja jej wierzę – że nie miała specjalnej ochoty ujawniać swojego incydentu z Trumpem. Miała wówczas małe dziecko i męża, którego wiele razy zapewniała, że pomiędzy nią a Donaldem do niczego nie doszło – poza tym, samo wspomnienie napawało ją jeśli nie zgrozą, to co najmniej niesmakiem.

Poznali się na celebryckich zawodach golfowych, w których Trump startował, a Stormy reprezentowała studio produkcji filmów porno. Zaprosił ją na kolację, której w końcu nie zaoferował, za to dwukrotnie zaoferował siebie. Najpierw, kiedy przyjął ją w czarnej jedwabnej piżamie – na co Stormy miała powiedzieć: „Czy pan Hefner wie, że ukradłeś mu piżamę?" – nawiązując do twórcy „Playboya" Hugha Hefnera, który namiętnie pokazywał się publicznie w stroju nocnym. Trump pokornie przebrał się w garnitur, ale kiedy Daniels poszła do łazienki, rozebrał się znowu, do gaci i podkoszulki. Stormy nigdy nie twierdziła, że Trump ją zgwałcił, czy w jakikolwiek sposób przymusił do seksu – a jedynie, że nie do końca wie, jak doszło do stosunku, który był nader krótki i niesatysfakcjonujący. „Był to być może najmniej imponujący seks w moim życiu" – skomentowała, dodając, że Trump „najwyraźniej nie podzielał tej opinii". Opowiedziała też z niejaką satysfakcją, że

fiut byłego Lidera Wolnego Świata, choć „mniejszy niż przeciętny", nie jest „dziwacznie mały", ma za to dziwaczny kształt, z wielką główką, przypominającą muchomora. „Leżałam tam, wkurzona, że pieprzy mnie facet z łoniakami jak Yeti i kutasem jak Toad z Nintendo"...

Po tym nieszczególnie udanym początku utrzymywali kontakt – choć już bez wymiany płynów fizjologicznych – jeszcze przez rok, głównie dlatego, że Trump kusił ją występem w jego ówczesnym reality show „Apprentice". Do czego oczywiście nie doszło.

Kasa cicho sza

Wersja dalszego rozwoju wypadków przedstawiana przez Stormy – i kategorycznie negowana przez Trumpa – jest taka, że w 2011 r., kiedy Donald zaczął poważnie rozważać wejście do polityki, a Stormy gdzieniegdzie przebąkiwać o ich nieszczególnie godnym spotkaniu, bardzo przystojny nieznajomy zaczepił ją na parkingu, kiedy szła na jakieś zajęcia z paromiesięczną córką. „Zostaw pana Trumpa w spokoju. Zapomnij o tej historii" – doradził i dodał: „To piękna mała dziewczynka. Byłoby szkoda, gdyby coś stało się jej mamie".

Po tym spotkaniu – twierdzi Daniels – zaczęła się bać o siebie i dziecko. Strach stał się bardziej intensywny w 2015 r., kiedy Trump wszedł od polityki na serio. Przyjaciele doradzali jej, że powinna ujawnić historię, co będzie dla niej swoistą polisą ubezpieczeniową: gdyby coś jej się stało po tym, jak powiedziała, że spała z kandydatem na prezydenta USA, kandydat ów stałby się automatycznie podejrzanym. W końcu po wielu dziwacznych prawnych ruchach z udziałem rozlicznych szemranych adwokatów (co najmniej dwóch z nich wylądowało później w pierdlu), Stormy zgodziła się przyjąć 130 tys. dolków (a tak naprawdę 70, bo 60 wziął jej adwokat) za milczenie. Uważając, jak twierdzi, że to optymalne rozwiązanie z punktu widzenia bezpieczeństwa właśnie: umowa nadal dawała jej pewną osłonę prawną – gdyby ją nagły szlag trafił, Trump byłby podejrzanym – a jednocześnie oszczędziła jej publicznego opowiadania o tym dość żenującym epizodzie.

Rok z górą później – już w trakcie kadencji Trumpa – „Wall Street Journal" opublikował historię „hush-money" (co można przetłumaczyć jako „kasa cicho sza") zapłaconych w imieniu prezydenta przez jego prawnika Michaela Cohena „gwieździe porno". To rozwinęło się w długą i skomplikowaną batalię prawną ukoronowaną procesem, w którym Donald J. Trump został w zeszłym tygodniu uznany za winnego wszystkich 34 zarzutów.

Zarzuty sprowadzają się do tego, że Trump zwrócił Cohenowi 130 tys. dolarów, które ten zapłacił Stormy Daniel, i zaksięgował to jako koszt obsługi prawnej, co było wykroczeniem księgowym. Żeby podnieść to wykroczenie do rangi przestępstwa, prokurator musiał wykazać, że zostało ono popełnione, aby ukryć lub popełnić inne przestępstwo.

A wyborcy swoje...

To inne przestępstwo to – zdaniem prokuratury – oszustwo wyborcze; próba zamącenia w głowach obywatelom, pozbawienia ich wiedzy o nagannym postępowaniu kandydata. Wiedzy, która – teoretycznie – mogła była wpłynąć na ich decyzje wyborcze. Co ciekawe jednak, Trump nie był oskarżony o przestępstwo przeciwko wyborom; zostało ono użyte jedynie jako argument na rzecz wzmocnienia zarzutów dotyczących wykroczenia księgowego.

Zarzut oszustwa wyborczego został przez prokuraturę pominięty słusznie. Nie tylko dlatego, że był nie do udowodnienia: jak trafnie zauważył John Bolton, były doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, dziś jego bardzo surowy krytyk, wystarczyło, żeby podsądny powiedział, że płacił za milczenie, by nie chciał, żeby jego żona dowiedziała się o romansie – co przestępstwem nie jest. Ważniejszy jest fakt, iż po słynnych taśmach, na których kandydat opowiadał o łapaniu kobiet za cipę bez pytania – można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wyborcy Trumpa nic sobie nie robią z jego dziwkarstwa. Trudno mówić o oszustwie wyborczym, kiedy nie da się wykazać, że powiedzenie prawdy miałoby jakikolwiek wpływ na wynik wyborów.

Tę tezę potwierdzają zresztą ostatnie sondaże.

Według sondażu Ipsos dla ABC, liczba Amerykanów, którzy mają o Donaldzie Trumpie przychylną opinię spadła po wyroku z 31 do 29 proc., czyli w granicach błędu statystycznego. Co zabawne – nieco tylko mniej, z 33 do 32 proc. spadła w tym czasie liczba tych, co lubią Bidena. W sumie, sytuacja nie zmieniła się.

Podział opinii na temat tego, co dalej, przebiega zgodnie z liniami partyjnymi: 49 proc. ogółu Amerykanów – w tym 79 proc. demokratów i zaledwie 16 proc. republikanów – uważa, że Trump powinien w związku ze skazaniem przerwać kampanię.

Niewierność tych 16 proc. jest z naddatkiem wynagradzana przez wierność pozostałych. W ciągu 24 godzin po ogłoszeniu wyroku Trump zebrał 53 mln dolków we wpłatach na kampanię – prawie tyle samo, ile przez drugie półrocze 2023 r. Z kolei dla Reutersa Ipsos ustalił, że tylko 1 na 10 Republikanów powiedział, że po werdykcie jest „mniej prawdopodobne", że zagłosuje na Trumpa. 55 proc. stwierdziło, że wyrok nie ma wpływu na ich plan wyborcze. 34 proc. wyznaje, że skazanie kandydata republikanów „zwiększyło prawdopodobieństwo", że oddadzą na niego głos.

AWŁ

WIARA CZYNI CZUBA

1. Upiorny Narendra Modi utrzymał swoją władzę nad Indiami na trzecią kadencję – choć szczęśliwie z zapowiadanych w kampanii 400 mandatów jego partia BJP zdobyła zaledwie 240, więc będzie musiał znaleźć koalicjantów i się z nimi liczyć. Modi zmierza twardym krokiem do uczynienia z największej demokracji na świecie kraju teokratycznego i postawienia znaku jedności między obywatelem Indii i wyznawcą hinduizmu. Prześladowani są szczególnie muzułmanie, za przyzwoleniem władzy napadani i bici za podejrzenie handlu wołowiną lub „miłosny dżihad": to taka spiskowa teoria, która mówi, że muzułmańscy mężczyźni podstępnie żenią się z hinduskimi kobietami, aby nawrócić je na islam i zapewnić muzułmańską dominację w kraju. Przy cenzurze religijnej w Indiach polski art. 196 KK – obraza uczuć religijnych – jest nieomal demokratyczny.

2. „Papież nigdy nie zamierzał nikogo obrażać ani wyrażać się w sposób homofobiczny i przeprasza tych, którzy poczuli się urażeni użyciem terminu, przekazanego im przez innych" – ogłosił rzecznik Watykanu Matteo Bruni. Okazuje się, że na zamkniętej naradzie włoskiego episkopatu papież, zapytany o przyjmowanie gejów do seminarium, orzekł, że wprawdzie Kościół musi być otwarty dla wszystkich, ale homoseksualny ksiądz może prowadzić podwójne życie, a w ogóle to „już za dużo jest tam tego pedalstwa". I to by było na tyle, w temacie wzniosłej deklaracji: „Jeśli ktoś jest gejem i poszukuje Boga w dobrej wierze, kim jestem, by go osądzać?" – wygłoszonej przez Franciszka w roku 2013. Ale papież ma swoją rację: historia nie zna wszak przypadku, żeby ksiądz heteroseksualny prowadził podwójne życia, np. z gospodynią.

3. Republikańscy kongresmani w Teksasie postanowili wydać 731 mln dolarów na opracowanie stanowej podstawy edukacyjnej. Szkoły dostaną materiały za darmo, a jeśli będą z nich korzystać, dostaną też 40 dolków na każdego ucznia. Byłby to piękny przykład troski stanu o usługi publiczne, gdyby nie to, że chodzi o przemycenie treści religijnych do podstawowej edukacji. Kiedy lider rynku odmówił wciskania biblii do czytanek na każdy temat, jego miejsce z chęcią zajęły prawackie organizacje, które neutralność religijną w edukacji wyobrażają sobie tak: przy omawianiu „Ostatniej wieczerzy" Leonardo do Vinci, dzieci mają usłyszeć: „Biblia wyjaśnia, że Jezus wiedział, że po tym posiłku zostanie aresztowany, postawiony przed sądem i zabity. Przeczytajmy historię z Ewangelii Mateusza, aby przekonać się, co wydarzyło się podczas wieczerzy"...

Rys. WIDGET

4. W Londynie powstaje pierwszy na świecie wyznaniowy sąd sikhijski, który ma zajmować się sprawami dotyczącymi „przemocy domowej o niskim natężeniu", a także związanymi z „zarządzaniem gniewem, hazardem i nadużywaniem substancji". Autor idei, Baldip Singh, uzasadnia potrzebę powołania sądu wyznaniowego faktem, iż sądy świeckie nie uwzględniają wartości religijnych – powołuje się przy tym na przykład rozwiedzionej sikhijskiej kobiety, która jako główna opiekunka swojego syna pozwoliła mu obciąć włosy wbrew życzeniom ojca dziecka. Sikhizm zabrania mężczyznom obcinania włosów – stąd ich wielkie turbany. Okazuje się, że brytyjskie sądy rodzinne wykazują uprzedzenia wobec sprawców nienatężonej przemocy domowej motywowanej wartościami religijnymi. No, coś trzeba było z tym zrobić.

eprasa.pl f32860a4e5

Koloseum na miarę naszych czasów

Każde miasto musi mieć efektowny stadion. To dla mieszkańców punkt honoru.

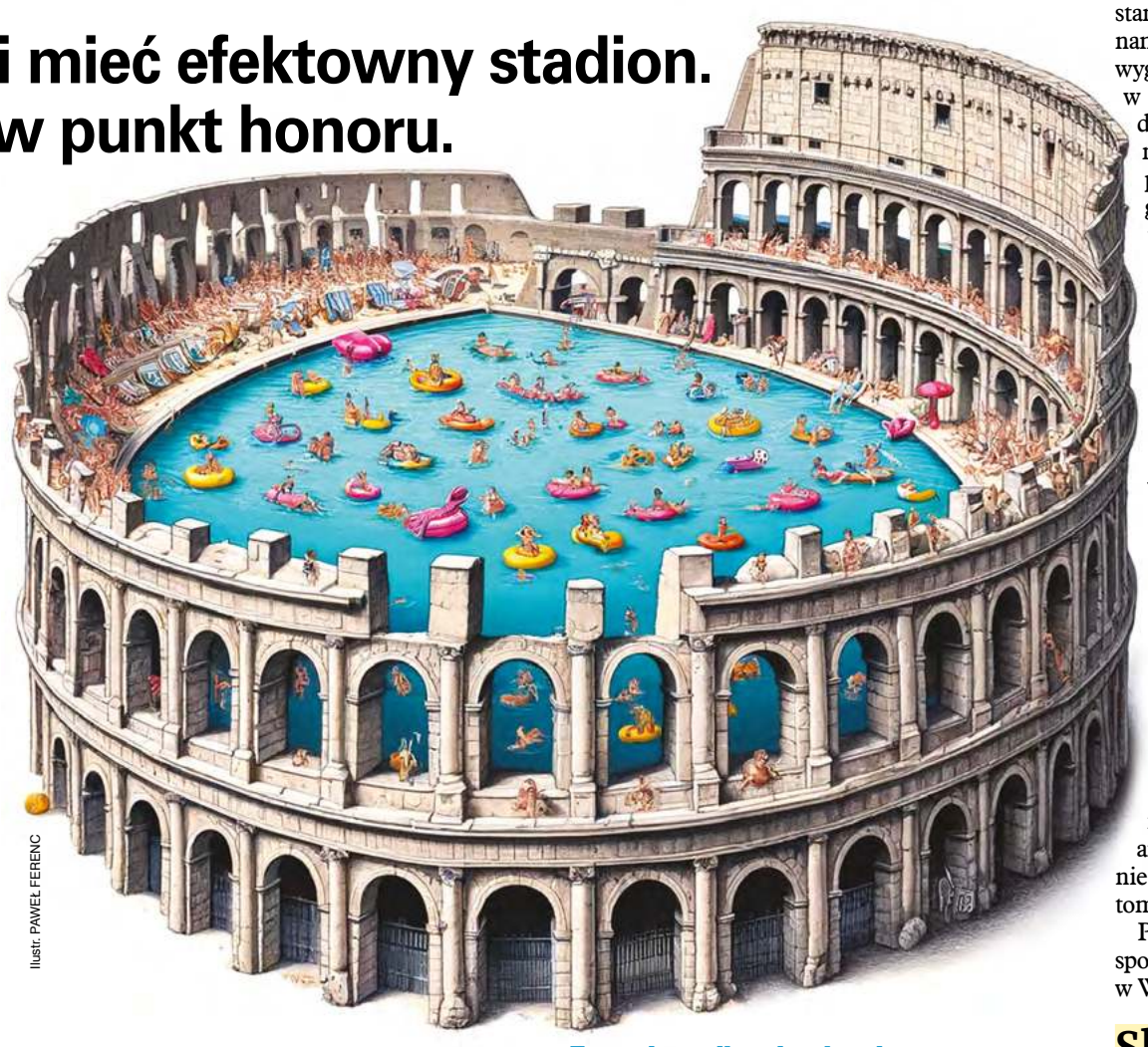

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Co zapamiętamy z finałowego meczu piłkarskiej Ligi Mistrzów? Trzech młodzieńców, którzy przedarli się z trybun na płytę boiska i sprawnie uciekali przed goniącymi ich stewardami. Ponoć ci chuligani opłaceni byli, i to suto, przez jakiegoś rosyjskiego streamera, który prowadził w internecie na żywo transmisję z tego wydarzenia (oficjalni realizatorzy transmisji nigdy nie pokazują takich incydentów, nie chcą przysparzać sławy chuliganom). Sam mecz nie był fascynującym widowiskiem. Wygrał ten, kto miał wygrać, a scenariusz był łatwy do przewidzenia. Ambitni piłkarze Borussi Dortmund nacisnęli Real Madryt, by dostać dwa szybkie ciosy i patrzeć jak ich rywale odbierają najcenniejsze trofeum w europejskim klubowym futbolu.

Wszystko to działo się na Stadionie Wembley, najbardziej reprezentacyjnym stadionie Anglii, zapewne też Starego Kontynentu. W starożytnym Rzymie mawiano, że dopóki stoi Koloseum, dopóty istnieje Rzym. Czy to samo można powiedzieć o Wembley i naszej cywilizacji?

Wembley dla Marsjan

Zabawmy się w science fiction. Wyobraźmy sobie, że za jakieś 20 wieków wycieczka Marsjan zwiedzać będzie ruiny Wembley. Przewodnik-Marsjanin zacznie swoją opowieść od historii. Stwierdzi mianowicie, że najnowsze marsjańskie badania archeologiczne udowodniły, iż początki obiektu sięgają roku 1923. Przebudowa, a właściwie budowa nowego kolosa miała miejsce od 2003 do 2007 r. Nowe Wembley stoi częściowo na miejscu starego. Na tym stadionie – kontynuować będzie przewodnik-Marsjanin – odbywały się najważniejsze mecze piłkarskie Anglików, ale nie tylko. Stadion przystosowano do rozgrywania zawodów lekkoatletycznych, żużlowych, rugby i futbolu amerykańskiego, na Wembley odbywały się również różne imprezy masowe, głównie koncerty muzyczne. Wspomnieć wypada o słynnym koncercie Live Earth.

Ponieważ przewodnik wie, że Marsjan szczególnie interesują finanse, poda szacunkowy koszt przebudowy, a w zasadzie budowy od nowa centralnego stadionu Anglików. Ze szmerkiem uznania spotka się informacja, że wydano na to ok. 760 mln funtów (oczywiście sumę tę przeliczy natychmiast na walutę obowiązującą na czwartej od Słońca planecie).

Nad ruinami, które dwa millenia temu były trybunami Wembley – będzie tłumaczył dalej przewodnik-Marsjanin – znajdował się gigantyczny stalowy łuk, który nie przerwał niestety do naszych czasów. Łuk wysokości 133 m, a szerokości 315 m nie miał praktycznego zastosowania. On miał być po prostu piękną, efektownie podświetlaną ozdobą, widoczną z wielu dzielnic Londynu.

Ruiny trybun, mogących pomieścić równo 90 tys. ludzi, to nie wszystko. Nad stadionem Wembley znajdował się dach. Sprytni Ziemianie wymyślili go tak, że w słoneczne dni – tych w Anglii nie jest znowu tak wiele – pozycję części dachu można było zmienić tak, aby zasłonić lub odsłonić kawałek boiska. Chodzi o to, aby albo całe było w słońcu, albo w cieniu. To ważne dla transmisji telewizyjnych.

W pewnym sensie zmałpowano tu pomysł starożytnych Rzymian. Trybuny Koloseum też można było przykryć dachem. Ponieważ nie wynaleziono jeszcze ani silnika elektrycznego, ani nawet parowego, ważący wiele ton dach naciągali marynarze, z racji swojego zawodu obeznani w posługiwaniu się linami.

Koloseum nie dla chrześcijan

Współcześni Ziemianie – zostawmy już zabawę w science fiction – chętnie zwiedzają ruiny starożytnych amfiteatrów rozsianych nie tylko po Europie, ale także Azji Mniejszej i Afryce Północnej. Ślady amfiteatrów odnajduje się również w Brytanii.

Rzymianie uwielbiali igrzyska, podczas których pokazywano walki gladiatorów, polowania na zwierzęta oraz egzekucje, niekiedy bardzo wymyślne. Igrzyska takie były bardzo kosztowne, w stolicy Imperium organizował je zatem najczęściej cesarz, ściągnąwszy wcześniej pieniądze na ten cel w formie podatków z ludności. W prowincjach doprowadzające niekiedy do bankructwa przedsięwzięcie finansowali lokalni notable. Musieli tak postępować, bo wymagał tego od nich prestiż. Bezwzględne dążenie do prestiżu zgubiło niejednego polityka. Niektórzy muszą się dzisiaj tłumaczyć przed prokuraturą i komisjami sejmowymi.

W starożytnym Rzymie każde miasto musiało mieć swój amfiteatr. Nawet na dalekiej prowincji znajdujemy jakieś ich pozostałości. Nie inaczej jest dzisiaj, gdy architekci prześcigają się w wymyślaniu efektownych form dla aren. Mnie najbardziej podoba się pod tym względem nowy stadion Realu Madryt, Estadio Santiago Bernabéu. Coś pięknego.

Najsłynniejsza rzymska arena to oczywiście Amfiteatr Flawiuszów, nazywany Koloseum. Dziś pozostały po nim efektowne ruiny, dające jednak wyobrażenie, czym musiał być obiekt w czasie swojej świetności. Zastanawiające jest także, że tak gigantyczną budowlę wzniesiono w mniej niż 10 lat. Budowniczowie Koloseum mogliby się ścigać z twórcami współczesnych obiektów.

Prace rozpoczęto w 70 lub 72 r. n.e. na polecenie cesarza Wespazjana. Budowę ukończył kolejny cesarz z dynastii Flawiuszów – Tytus. Współcześni przewodnicy opowiadają wiele ciekawostek. Mnie fascynuje zwłaszcza fakt, że dzięki licznym wejściom i wyjściom obiekt można było zapełniać publicznością lub opróżnić w 6 minut. Tego jeszcze nie dorobiliśmy się na żadnym współczesnym stadionie.

Widzowie zasiadający na trybunach Koloseum mieli do dyspozycji liczne udogodnienia. We wnękach mieściły się np. toalety i fontanny. Najniższe rzędy oddzielała od areny misterna barierka z kości słoniowej i złota. Nie zapominajmy, że na arenę wpuszczano dzikie i krwiożercze zwierzęta. Przy okazji zrewidujmy pewien powszechnie powtarzany pogląd, jakoby w Koloseum zabijano chrześcijan. Owszem, zabijano, ale niejako przy okazji. Wówczas, gdy wśród skazańców znalazł się akurat jakiś chrześcijanin. Do rozprawiania się z rodzącą się i szybko rozprzestrzeniającą się sektą były w Rzymie inne miejsca.

Tottenham dla odważnych

Na dzisiejszych stadionach bardzo ważne są bary i sklepiki mieszczące się pod trybunami. One nierzadko przynoszą dochody nie mniejsze niż sprzedaż biletów. Jeden z najnowocześniejszych obiektów piłkarskich, stadion Tottenhamu Hotspur szczyci się najdłuższym barem świata (zapomniałem, niestety, ile ma metrów). To w ogóle wyjątkowa budowla. Zastosowano wiele innowacyjnych technologii. Jedną z nich jest całkowite zadaszenie trybun, przy czym zewnętrzna część dachu jest przeszklona, tak aby nie przeszkadzać w oglądaniu zawodów widzom, których trybuny mogą pomieścić dokładnie 62 303.

Nowy obiekt Tottenhamu Hotspur zbudowano w ten sposób, aby służył nie tylko piłkarzom. Trawiasta murawa składa się na trzy części i chowa pod jedną z trybun. Pod nią znajduje się boisko do futbolu amerykańskiego, pokryte sztuczną nawierzchnią. Wykorzystywane jest także w czasie koncertów i innych imprez, a cała operacja zmiany przeznaczenia murawy trwa zaledwie 25 min.

Stadion powstał częściowo na miejscu starego klubowego obiektu White Hart Lane, a budowa, czy raczej przebudowa, trwała znacznie dłużej niż wznoszenie Koloseum. Powodem nie były jednak jakieś nadzwyczajne problemy techniczne, ale kłopoty z rozstrzyganiem własności gruntów, zakończone dopiero sądową procedurą wywłaszczeniową.

Rzymianie budowali swoje amfiteatry po to, by dostarczyć widzom mocnych wrażeń. Nie inaczej postąpili właściciele Tottenhamu. Nad trybuną południową wznosi się wielkich rozmiarów pomnik koguta stojącego na piłce – to klubowy herb. Prowadzi do niego kładka nieogrodzona żadną barierką. Jeśli ktoś chce się przyjrzeć kogutowi z bliska i zapłaci za atrakcję, przewiązany liną ubezpieczającą może popatrzeć na boisko z dużej wysokości. Ponoć wrażenie niezapomniane.

Wembley to oczywiście niejedyny stadion, który można przykryć rozsuwanym dachem. To standard nowoczesnych obiektów sportowych, nie tylko piłkarskich. Pasjonujemy się teraz wielkoszlemowym tenisowym turniejem French Open na kortach im. Rolanda Garrosa. Tylko dwa korty są zadaszone, a pogoda w Paryżu wyjątkowo kapryśna. Mecze trzeba przekładać, cały program imprezy został zburzony.

Na szczęście Iga Świątek, światowa jedynka, ma przywilej występowania na głównych kortach, właśnie tych zadaszonych. Turniej trwa, ale już dwa mecze Igi Świątek pozostaną nam długo w pamięci. Wygrana z Japonką Naomi Ōsaką w praktycznie przegranym meczu, gdy Polka zwycięsko wyszła ze stanu 2:5 i 0:30 w kolejnym gemie. Nie przypominam sobie podobnego horroru na korcie. Gładka wygrana z Rosjanką Anastazją Potapową 6:0, 6:0 w nieco ponad pół godziny miała natomiast dodatkowy, już nie sportowy, smaczek. Rosjanka niejednokrotnie określała się jako zwolenniczka polityki prezydenta Władimira Putina i chwaliła go za agresję na Ukrainę. Zdanie Igi Świątek na ten temat jest powszechnie znane.

Narodowy – nie wiadomo dla kogo

Wracamy na wielkie stadiony. Na pewnym prowincjonalnym – w skali europejskiej – obiekcie zasuwany dach pięknie się prezentuje w słońcu, zwłaszcza gdy powiewa nad nim biało-czerwona flaga. Ma jednak pewne mankamenty. Nie można go zasuwać albo rozsuwać w temperaturze poniżej 0 st. C., albo podczas opadów deszczu. Starożytni Rzymianie nie przepuściliby takiej fuszerki.

Starsi Ziemianie pamiętają, co działo się podczas meczu Polska–Anglia na wspomnianym stadionie. Mimo jednoznacznych prognoz pogody polscy działacze uparli się, by nie zasuwać dachu. Lunęło tak, że po chwili prędzej można było przeprowadzać zawody pływackie niż piłkarskie. Mecz rozegrano następnego dnia, przy zamkniętym dachu, mimo że działacze PZPN nalegali na przesunięcie go o wiele tygodni. Tym razem najprawdopodobniej nie chodziło jednak ani o meteorologię, ani o zasuwany dach, ale o danie czasu dwóm czołowym polskim reprezentantom na wyleczenie kontuzji.

Przygoda podczas meczu Polska–Anglia nie spowodowała u włodarzy Stadionu Narodowego w Warszawie wodowstrętu.

Skoro w napełnionym wodą rzymskim Koloseum rozgrywano bitwy morskie, dlaczego w stolicy państwa Polan nie pokusić się o Puchar Świata w windsurfingu? Na płycie Stadionu Narodowego powstał gigantyczny basen.

Do konstrukcji o długości 90 m i szerokości 33 m, wlano 3 tys. metrów sześciennych wody. Dumni organizatorzy pochwalili się, że w basenie zmieścić by się mogło 80 tirów, albo 20 stojących obok siebie myśliwców F-16. Po jednej stronie basenu umieszczono 30 olbrzymich wiatraków, zdolnych wytworzyć wiatr o prędkości ok. 70 km/h. Czego wam więcej, windsurferzy, potrzeba do szczęścia?

Okazało się, że jednak czegoś brakuje. Nienaturalne warunki wypaczyły przebieg rywalizacji. Część windsurferów, i to tych ze światowej czołówki, zlekceważyła imprezę, nie pokazywała efektownych trików. Na dodatek, mimo szumnej reklamy, zawiodła publiczność. Podczas eliminacji trybuny świeciły pustkami, więcej widzów przyszło dopiero na finały. Wodnej próby na Narodowym już nie ponawiano.

Czy rzeczywiście trzeba będzie czekać 20 wieków zanim stadiony na Ziemi popadną w całkowitą ruinę, a zwiedzać je będą Marsjanie lub przybysze z innych planet i galaktyk? Zachodzi obawa, że stanie się to znacznie szybciej. Coraz trudniej zapełniać trybuny wielkich stadionów podczas widowisk sportowych. Publika przenosi się przed ekrany telewizorów. Swoje zrobią też agresywni kibice, którym przestaje wystarczać mazanie po murach obiektów, coraz częściej je dewastują.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 5.06.2024 r.**

eprasa.pl f32860a4e5

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Gdybyś chciał, mógłbyś z palcem w dupie zostać prezydentem – powiedział jeden głos w głowie Marcina Mastalerka.

Mastalerek zbliżył palec do pośladków, ale zrezygnował z dokończenia akcji.

– A pewnie, że mógłbym – zgodził się. – Gdyby nie przeszkody formalne, to mógłbym zostać prezydentem dowolnego kraju.

– Watykanu też? – zapytał drugi głos.

Mastalerek roześmiał się zuchwale:

– Watykan nie ma prezydenta, ale gdyby miał, to mógłbym zostać prezydentem Watykanu.

Głosy zamilkły zapędzone w kozi róg. Jeden z nich odezwał się dopiero po dłuższej pauzie: – Naprawdę chciałbyś zostać następcą takiego pajaca jak twój obecny pracodawca?

– Co mi tam… – Mastalerek wzruszył ramionami.

– Umiesz po angielsku? – zapytał drugi głos. – Masz frak i spodnie z lampasami? Potrafisz zjeżdżać na nartach?

Mastalerek spojrzał w lustro. Miał na sobie górę od piżamy, bo już od dawna nie nosił koszulek z napisami „Śmierć wrogom Ojczyzny", „Chwała Żołnierzom Wyklętym" albo „Red is bad". Równie dobrze mógłby zacząć się ubierać w białe koszule z usztywnionym gorsem i z zagiętymi rogami kołnierzyka…

– Gdybym chciał, mógłbym po angielsku mówić dwie godziny o niczym – odparł. – Z akcentem z West Midlands.

Głosy zagwizdały z podziwem.

– A co z nartami, dmuchanym krabem i samolotami dla każdego, które trzeba gdzieś zaparkować? – zadał pytanie głos sprawiający wrażenie najważniejszego w całej Mastalerkowej głowie.

– Gdybym chciał, mógłbym udawać tak silnego i inteligentnego jak…

– Jak kto? – naciskał najważniejszy głos.

Mastarek miał nazwisko na końcu języka, lecz musiał się w ten język ugryźć. Czasy były takie, że ściany mają uszy…

– Mógłbym być po prostu silny i inteligentny – dokończył ostrożnie.

Głosy zachichotały. Najwidoczniej wiedziały, jakie nazwisko Mastalerek miał na myśli, ale nie miał odwagi go wypowiedzieć na głos.

– Uważaj, bo za takie marzenia generał Stróżyk wsadzi cię za kratki, a wtedy najwyżej będziesz mógł zostać prezydentem aresztu śledczego – zaśmiał się najważniejszy głos.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA oglądała wiec Tuska w telewizji. **JOANNA SENYSZYN** ma lepsze rzeczy do roboty.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wołk-Łaniewska: – No rozczuliłam się.

Senyszyn: – Czym niby?

– A wszystkim. Najpierw wicemarszalica Wielichowska zacytowała Donalda tak jak wcześniej cytowało się tylko Jana Pawła II: „Znalazłam dzisiaj słowa Donalda Tuska sprzed kilku lat, a one są dzisiaj wciąż aktualne. Pozwólcie, że je przytoczę: »Nigdy się nie poddawać i każdego dnia ciężko pracować na zwycięstwo, z odwagą, z determinacją i z cierpliwością«"…

– To by trzeba w kamieniu wyryć.

– Najlepiej na czyimś nagrobku. A potem obiecali „niespodziankę" i był chór. Zgadnij, co zaśpiewał?

– Żeby była prawdziwa niespodzianka, to tylko „Międzynarodówkę"…

– Pudło. Możesz zgadywać jeszcze dwa razy… Albo nie, powiem ci, bo nigdy nie zgadniesz: „Mazurka Dąbrowskiego" i „Odę do radości"!

– „Odę" kocham. A „Mazurek" był z Basią czy bez Basi?

– Z Basią, a jakże. Zawsze mnie skądinąd bawi do łez, jak oni śpiewają, że ten ojciec mówi do gówniary „cały zapłakany". Żeby Polak płakał?! Toż to jakaś ciota, nie ojciec! Wybicki, który skądinąd pisał niechlujnie i lekko nieortograficznie, napisał „zapłakanyi", czyli po naszemu „zapłakanej"… To Basia była zapłakana, nie ojciec-Polak! I jeszcze „pononasi" mi się zawsze podobali. To takie plemię, które bije w tarabany… Ale ja nie o tym.

– A o czym, bo jakoś nie mogę się domyślić?

– O tym, jaki to piękny iwent był. Co prawda na „zdjęciach organizatora" starannie unikano pokazywania go z góry, bo wtedy było widać, że to całe pospolite ruszenie jest cokolwiek luźne i sięga na trzy metry w Podwale i z pięć w Krakowskie Przedmieście, więc jednak nie jest tak, jak 4 czerwca 2023 r. Ale realizatorzy bardzo zręcznie sobie radzili, bo jak tylko tłum w kamerze się przerzedzał, to zaraz robili przejście na rozkoszne dziecię z pluszowym króliczkiem, albo na iglicę Pałacu Kultury. Ballada mi się przypomniała…

– O Pałacu Kultury?

– Nie, „O nadzwyczajnym przeszkoleniu kamerzystów". Młynarski, jakoś tak z 82 r.: „Chłopaki, problem jest ogólnie taki: przyjdzie mało, a pokazać trzeba dużo". I jeszcze się zachwyciłam dwoma transparencikami domowej roboty. Wiesz: wódz na kiju unoszący się ponad tłumem jak Stalin podczas pochodu pierwszomajowego w 1952 r. Na pierwszym było po prostu zdjęcie Donalda z podpisem „Geniusz". Drugi wyobrażał Tuska na czołgu i był opatrzony hasłem „Do Europy wrócimy, tylko zwyciężymy, a to ważna gra".

– Jak wrócimy, skoro ponoć jesteśmy od zawsze? Ale marketing dobry.

– Taki grubo ciosany jednak. A przy okazji dowiedzieliśmy się, że Donald jednak będzie kandydował na prezydenta.

– Nie zauważyłam, żeby padła deklaracja…

– Wprost to nie padła, ale Rafał Trzaskowski przemawiał tak: „Jest szansa, że będziemy mieli poważnego prezydenta, kogoś, kto jest szanowany na świecie, kogoś, kto jest traktowany serio. Możemy doprowadzić do tego, że będziemy mieli prezydenta, który słucha, który współpracuje, który nikogo nie atakuje, który nikogo nie piętnuje"… Chyba o sobie by tak nie mówił?

– A niby dlaczego? Chyba nie doceniasz narcyzmu polityków. Buławę prezydencką w plecaku nosi co drugi.

– To akurat prawda, ale żeby o sobie mówić tak otwarcie z takim zachwytem? To umiał robić z wdziękiem tylko Józef Oleksy. No i z czeluści Platformy coraz częściej dobiega szmer, że Donald jednak ustawia wybory pod siebie, żeby mu Trzaskowski za bardzo nie wyrósł.

– Akurat Tusk urzędu prezydenckiego nie ceni. W 2010 r. mówił lekceważąco, że to tylko „żyrandol, pałac i weto". Woli realną władzę szefa partii i premiera. A przede wszystkim nie wystawiłby się bez pewności, że wygra, a takiej nie ma. Na moje oko pilnować żyrandola chciałby Sikorski. Ale ponieważ Kaczyński szuka na prezydenta modelu dudopodobnego, czyli kogoś nieznanego, nieopatrzonego, bez obciążeń – niewykluczone, że i PO pójdzie tym tropem. Problem w tym, że jeśli obecna koalicja rządząca nie wystawi – wzorem paktu senackiego – jednego kandydata, może wygrać pisowski.

– Chyba jednak nie. Musiałby w pierwszej turze, a to się udało dotychczas jedynie Kwaśniewskiemu. Bocheński wszak nie Kwaśniewski… W drugiej turze, jak zostanie PiS i antypis, będzie czas na wspólne poparcie. Gorzej, że na szeroko pojętej i nader umownej lewicy nie widzę kompletnie nikogo, kto mógłby w tej pierwszej turze przynieść formacji jakiś godny wynik. Ale najpierw wybory europejskie. Jakaś rada dla Czytelników?

– I owszem: nie głosować na czarzastych, bo przyzwoity wynik tylko niepotrzebnie przedłuży agonię tego prywatnego folwarku dwóch nieformalnych par, które ustawiają wszystko pod siebie. W 2019 r. Michał Syska pisał o Wiośnie Biedronia, że „kluczowe decyzje podejmowane są na randkach lidera tej partii i jego partnera". Teraz ten styl zarządzania występuje z podwójną mocą. A w kupie trzyma tzw. Nową Lewicę tylko koryto.

– Ja idę krok dalej i namawiam do bojkotu tych wyborów w ogóle. Nie przyłożę ręki do utrwalania władzy czarzasto-żukowskiej i biedroniowo-śmiszkowej, ale na prawicę też nie zagłosuję. I już mam dość gadania o tych wyborach.

– Ja też.

– To porozmawiajmy o kulturze.

– Proszę.

– Eeeee… O! Oglądałaś festiwal w Opolu?

– Przelotnie, jak zmieniałam kanały i coś mi wpadło w ucho, bo mówiąc inżynierem Mamoniem, „jakże może mi się podobać piosenka, którą pierwszy raz słyszę".

– Albowiem jesteś umysł ścisły i tobie się podobają melodie, które już raz słyszałaś, przez reminiscencję.

– Tak właśnie. A w nowych aranżacjach trudno było niektóre poznać. I chyba po raz pierwszy nie było Rodowicz. Scena piosenkowa, filmowa zmieniają się jak polityczna.

– I na koniec, à propos sceny filmowej: strasznie mi smutno, że umarł Janusz Rewiński. Mimo że popierał PiS. Ale zawsze sobie myślałam, że nie tak na serio. Poznałam Rewińskiego, kiedy był posłem. Miał pieczątkę: „Janusz Rewiński, poseł z Radości". Bo mieszkał w Radości.

– Pamiętam. Polska Partia Przyjaciół Piwa wprowadziła do sejmu 16 posłów, choć wynik miała jak słabe piwo: 3,3 proc. Dziś nie przebiłaby się do sejmu. Idziemy w kierunku partyjnego duopolu. Niekoniecznie jest to zmiana na lepsze.

– Zgadzam się w całej rozciągłości. I uważam, że szkoda, że Wałęsa rozwiązał tamten parlament w związku ze sraczką ministra Dyki, albowiem był niezwykle ciekawy. I wesolutki. Pamiętam, jak na ostatni posiedzeniu Rewiński podszedł do Marka Jurka i powiedział ze śmiertelną powagą; „Do widzenia, panie Jerzy, będzie mi pana bardzo brakowało"… „Nazywam się Jurek" – wycedził Jurek przez zęby. „Ależ nigdy nie pozwoliłbym sobie na taką poufałość, panie Jerzy".

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl f32860a4e5